

PRZEGLĄD PRUSZKOWSKI

Wydawnictwo Pruszkowskiego
Towarzystwa Kulturalno-Naukowego
nr 1/2012

**Copyright © by Pruszkowskie Towarzystwo
Kulturalno-Naukowe, 2012**

Grafika:

Jerzy Blancard

Redaktor:

Irena Horban

Zespół redakcyjny:

Hanna Horban

Grzegorz Zegadło

Wydawca: Pruszkowskie Towarzystwo Kulturalno-Naukowe
ul. Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej 5

05-800 Pruszków

tel. 22 759 94 64

e-mail: eireneszym@gmail.com

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna

im. H. Sienkiewicza

ul. Kraszewskiego 13

05-800 Pruszków

tel. 22 758 86 09

tel./fax 22 730 10 80

e-mail: ksiaznica_pruszkowska@biblioteka.pruszkow.pl

Spis treści

Bożena Kępkowska

Inżynier Aleksander Gwiazdowski 5

Stowarzyszenie Mechaników Polskich z Ameryki 12

Elżbieta Żywień

90 lat minęło 15

Jacek Przygodzki

Oślonięcie tablicy ku czci Jerzego Palusińskiego 18

Monika Krawczyk

Katyń 29

Grzegorz Zegadło

Po co komu ten konkurs? 34

Krzysztof Kamieński

Stefan Szepe 38

Elżbieta Suchecka

Jak zostałam Pruszkowianką 43

Jerzy Kaleta

Szymon Kucharski

Cichy bohater września 1939 roku 58

Beata Pawełczyńska

Współpraca ZHP z organizacjami pozarządowymi 66

Irena Szymańska-Horban

Ostatnie miesiące w PTKN 70

POŻEGNANIA

Majka Barrat	
Jak trudno...	74
prof. Jacek Przygodzki	
mgr Tomasz Boczyński	
dr Stanisław Boczyński	75
Zdzisław Majewski	
dr Jerzy Kaliński	78
Barbara Ratyńska	
prezydent Euzebiusz Kiełkiewicz	80
Lila Cisowska Wiewiórowa	
dr Sabina Czyżewska	82

LIRYKA, LIRYKA, TKLIWA DYNAMIKA

Kamil Krzysztof Baczyński	
Modlitwa do Bogarodzicy	85
Kamil Krzysztof Baczyński	
których nam nikt nie wynagrodzi...	86
Stanisław Marczak-Oborski	
Palec na cynglu	88
Janusz Kozłowski	
Piosenka	89
Romualda Bromke	
Śmierć łączniczki	90
Jerzy Kaliński	
Moja modlitwa	91
Przepraszam, Panie	92
Płomień	93
Myśli o Tobie	94

Bożena Kępkowska

Nauczyciel Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących

Inżynier Aleksander Gwiazdowski twórca Stowarzyszenia Mechaników Polskich w Ameryce

Aleksander Gwiazdowski urodził się 8 września 1883 r. w Suwałkach, gdzie ukończył szkołę powszechną i gimnazjum. W tym ostatnim rozpoczął działalność społeczno-polityczną, organizując w latach 1898 – 1900 kółka oświatowe, najpierw wśród kolegów, a następnie wśród chłopów okolicznych wsi. Związał się wówczas z PPS i jako jej członek założył w latach 1900-1902 kilka grup socjalistycznych, których uczestnicy rekrutowali się z suwalskich szewców, krawców i szwaczek. Przemyczał również z Wileńszczyzny do Królestwa Polskiego druki konspiracyjne. Wskutek denuncjacji jednego z przemytników musiał w grudniu 1902 r. uciekać z Królestwa. Zdecydował się na emigrację do Stanów Zjednoczonych. Dzięki pomocy emigracyjnych socjalistów A. Gwiazdowski ukończył Instytut Techniczny Cooper Union Institute w Nowym Jorku, a następnie szkołę inżynierską przy Columbia University.

Po ukończeniu studiów pracował jako inżynier konstruktor w wielu renomowanych firmach amerykańskich. Aleksander Gwiazdowski już w czasie studiów rozpoczął działalność wśród Polonii, koncentrując się na najbardziej zaniedbanym według niego odcinku – oświacie dla dorosłych. W roku 1906 założył Polski Instytut Ludowy w Nowym Jorku, wyprzedzając o dwa lata ogólnoamerykańską inicjatywę Polonii, która dopiero jesienią 1908 r.

zorganizowała w Chicago Polski Uniwersytet Ludowy, którego filie powstały wkrótce w wielu miastach. Zadaniem Polskiego Instytutu Ludowego była początkowo wyłącznie nauka języka angielskiego. Szybko jednak poszerzył program o matematykę, fizykę i przedmioty techniczne, a ponadto organizował odczyty z zakresu nauk społecznych i politycznych. Dla dzieci w każdą sobotę organizował lekcje języka polskiego i historii.

Instytut Ludowy przygotował wówczas kandydatów do dalszej nauki w Instytucie Fundacyjnym Cooper Union, który kształcił dorosłych w zakresie nauk technicznych, nie wymagając przy tym od wstępujących żadnych świadectw szkolnych. Działalność Instytutu Ludowego sprzyjała nie tylko rozwojowi polskiej inteligencji technicznej, ale także kształtowaniu racjonalistycznych postaw jego słuchaczy.

W 1910 r. Aleksander Gwiazdowski rozpoczął wydawanie na Brooklynie miesięcznika pt. „Myśl”. W swoich artykułach wielokrotnie krytykował konserwatyzm oraz zacofanie kulturalne Polonii. Z inicjatywy działaczy Związku Narodowego Polskiego (ZNP) założono w 1912 r. w małej miejscowości uzdrowskiej Cambridge Springs w Pensylwanii Kolegium Związku Narodowego Polskiego na poziomie szkoły średniej. W roku 1915 utworzono przy Kolegium kursy zawodowe pod nazwą Instytutu Rzemieślniczego, którego organizatorami byli Aleksander Gwiazdowski i Stanisław Zwierzchowski, późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej.

Na kursach kształcono w zakresie ślusarstwa i obróbki drewna. Uczestniczyła w nich nie tylko młodzież, lecz i dorośli robotnicy. Oprócz praktycznego kształcenia w warsztatach nauczano również mechaniki, maszynoznawstwa, wytrzymałości materiałów oraz fizyki i chemii. W trosce o poszerzenie wiedzy ogólnej uczestników kursów zawodowych organizowano dla nich odczyty popularne z dziejów cywilizacji, literatury polskiej, socjologii. Do Instytutu Rzemieślniczego w roku 1915 zgłosiło się 51 osób, a w roku następnym 102 osoby.

Aleksander Gwiazdowski będąc profesorem inżynierii kierował od 1914 roku Wydziałem Mechanicznym Szkoły Inżynierskiej przy stanowym Uniwersytecie w Toledo w stanie Ohio. Na wydziale rzemieślniczym organizował kursy budowy maszyn dla pracujących młodych robotników. Niemal połowę uczestników stanowili emigranci polscy. Ukończenie kursu dawało absolwentom możliwość obejmowania stanowisk robotników wykwalifikowanych.

W 1918 r. A. Gwiazdowski skupił wokół siebie grupę słuchaczy wydziału rzemieślniczego polskiego pochodzenia, założył Stowarzyszenie Mechaników Polskich w Ameryce i rozpoczął wydawanie „Mechanika” – organu prasowego Stowarzyszenia. W pierwszych tygodniach akces do SMPwA zgłosiło 35 osób z Toledo, 53 osoby z Detroit, a po jednej z czterech innych miast amerykańskich. Przewodniczącym Stowarzyszenia został Aleksander Gwiazdowski, jego zastępcą – Józef Szlachciński.

Celem SMPwA było fachowe doskonalenie i kształcenie swoich członków; pomocą miały być nowowydawane podręczniki zawodowe, a także własne warsztaty. Członkiem mógł zostać każdy pracujący w przemyśle metalowym i drzewnym po uiszczeniu opłaty wstępnej w wysokości 10 dolarów. Członkami czynnymi zostali ci, którzy nabyli przynajmniej jedną akcję wartości 100 dolarów. Maksymalnie można było zakupić 10% wypuszczonych akcji. W chwili założenia kapitał zakładowy SMPwA wynosił 25 tysięcy dolarów i miano nadzieję, że w następnych miesiącach wzrośnie on do 100 tysięcy dolarów, a liczba członków sięgnie 1000 osób. Nieśmiało wyrażone nadzieje założycieli w krótkim czasie przekroczyły ich oczekiwania. W 1919 r. SMPwA liczyło 5 tysięcy członków i dysponowało kapitałem 1 miliona dolarów, a dwa lata później liczba członków wzrosła do 18 tysięcy, a kapitał do 3 milionów dolarów, przy czym pełne akcje zakupiono za sumę 1,5 miliona dolarów. Dysponując znacznym kapitałem, władze Stowarzyszenia już od 1918 roku zaczęły lokować go w bardzo różnych przedsięwzięciach amerykańskich i polskich. Zamierzały spopula-

ryzować w Polsce formę organizacji produkcji, zakładając wielką, może największą na świecie kooperatywę wytwórczą. Wyjaśniając zasady jej funkcjonowania stwierdzono, że stowarzyszeni pracownicy będą jednocześnie właścicielami przedsiębiorstw, organizatorami produkcji i pracownikami. Pracować zaś będą nie dla zysku kapitalisty, lecz dla dobrobytu własnego i wspólnego. W kooperatywie upatrywano szansę przezwyciężenia alienacji ekonomicznej. Klucz do powodzenia całego przedsięwzięcia upatrywano w postawie robotników i stanie ich świadomości.

Dlatego Stowarzyszenie mocno akcentowało konieczność szerzenia wśród robotników oświaty, zarówno fachowej jak i ogólnej, poprzez rozwój szkolnictwa zawodowego. Jego popularyzacja miała przynieść w perspektywie daleko idące zmiany społeczne i polityczne oraz rozbudzić ambicje zawodowe i intelektualne dla podnoszenia kwalifikacji. Robotnik wykształcony, znający podstawowe elementy procesu produkcyjnego i jego ekonomiczne uwarunkowania, mógł dążyć do udziału w zarządzaniu. Silny nacisk na kształcenie połączone z pracą w fabryce wynikał z doświadczeń amerykańskich, dobrze znanych szczególnie A. Gwiazdowskiemu. Nieprzypadkowo zagadnienie to eksponował w swoich artykułach, przedstawiając wizję kształcenia każdego chętnego w pruszkowskiej szkole zakładowej, mającej łączyć 5-godzinną pracę w szkolnych warsztatach z 4-godzinną nauką przedmiotów teoretycznych. Dla zdolniejszych zamierzano utworzyć uniwersytet wieczorowy. Liczono, że wykwalifikowani emigranci przeniosą na grunt polski najlepsze idee amerykańskiej cywilizacji przemysłowej, wyzwalać energię polskich robotników, odbudowując i rozbudowując przemysł krajowy, którego siła będzie podstawą niezależności politycznej. Postulowano oparcie rozwoju przemysłu na osiągnięciach naukowych i demokratyzację stosunków społecznych w przemyśle. Formułowano również szersze tezy programowe w zakresie polityki gospodarczej. Postulowano wzmożenie rodzimej wytwórczości, wyzyskanie krajowych bogactw naturalnych i źródeł energii oraz planowe rozmieszczenie przemysłu, co przyczynić się miało do

zmniejszenia różnic cywilizacyjnych pomiędzy różnymi rejonami Polski, a także między miastem a wsią. W koncepcji Gwiazdowskiego i jego najbliższego otoczenia, kooperatywę powinna cechować możliwie kompletna samowystarczalność. Tak radykalny program przebudowy gospodarczej i społecznej Polski w zetknięciu ze skomplikowaną rzeczywistością ekonomiczną kraju nie miał szans na realizację. Zresztą już w samej koncepcji kooperatywy wytwórczej kryły się zarodki klęski. SMPwA nigdy nie weszło nawet w początkową fazę realizacji kooperatywy wytwórczej, ponieważ jego członkowie wykazywali dużą wstrzemięźliwość w podejmowaniu pracy w polskich przedsiębiorstwach stowarzyszeniowych. SMPwA rozpoczęło działalność w okresie szczególnie trudnym dla gospodarki polskiej, zwłaszcza postępująca inflacja zmniejszyła zasadniczo jego możliwości finansowe. W 1919 roku płacono za dolara 110 marek polskich, w 1920 – 590 marek, w roku 1921 niemal 3 tysiące, a w 1922 aż 17 800 marek polskich. Pogłębiająca się inflacja wymagała zwiększonego dopływu kapitału dla kontynuowania rozpoczętych inwestycji. Tymczasem już jesienią 1921 roku znikł zupełnie dopływ pieniędzy ze sprzedaży akcji w Stanach Zjednoczonych. Skumulowanie przyczyn w krótkim czasie doprowadziło SMPwA na krawędź bankructwa.

W rezultacie Aleksander Gwiazdowski musiał odejść ze stanowiska prezesa. Powrócił wówczas do Stanów Zjednoczonych – początkowo organizował i prowadził szkoły dla młodzieży polonijnej, przygotowując dla niej w przystępnej formie różnego rodzaju poradniki i podręczniki np. „Praktyczna metoda nauczania języka angielskiego”. Największą popularność zyskał podręcznik dla mechaników, którego pierwsze wydanie ukazało się w 1918 roku, a dalsze cztery w następnych latach.

W początkach lat trzydziestych ponownie podjął wykłady. Aleksander Gwiazdowski był członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników i Stowarzyszenia Popierania Kształcenia Technicznego. W listopadzie 1933 roku władze polskie przyznały mu medal niepodległości.

W roku 1935 powrócił do Polski i osiadł w rodzinnych Suwałkach. Tu przygotował polskie wydanie podręcznika dla mechaników pt. „Podręcznik dla metalowców”, przeznaczonego dla wykwalifikowanych robotników.

W czasie okupacji podjął działalność konspiracyjną w Suwałkach, wkrótce został aresztowany i osadzony w obozie.

Po zakończeniu wojny Gwiazdowski wyjechał do Stanów Zjednoczonych i objął tam stanowisko profesora inżynierii, prowadził zajęcia do śmierci, która nastąpiła 26 lutego 1956 r.

Działalność Gwiazdowskiego spotkała się z krytyką wielu działaczy polonijnych jeszcze przed założeniem SMPwA. Znamienna jest jego wypowiedź z 1918 roku w ankiecie na temat pracy oświatowej wśród wychodźstwa przeprowadzonej przez Zarząd Polskiego Uniwersytetu Ludowego. Oceniał ją bardzo krytycznie, a główne przyczyny słabości określał następująco: *winę zwalic musimy na specjalne stosunki amerykańsko-polskie. Inteligencja lat przedrewolucyjnych (1905 rok) składa się z charakterów słabych, które z błyskawiczną szybkością poszły po linii najmniejszego oporu. Rewolucja rzuciła garść energicznej młodzieży. Dwa te obozy toczą walkę z uporem godnym lepszej sprawy z jednej strony, a podziwu z drugiej. Oświata służy nam wielokrotnie za broń do walki.* Uważał, że zajęcia w szkołach powinni prowadzić nauczyciele o wysokich kwalifikacjach, apelował również o częstsze podejmowanie studiów w uczelniach amerykańskich przez młodzież polonijną. Widział w tym jedną z ważnych dróg awansu społecznego emigrantów polskich w Stanach Zjednoczonych. Zasługi Aleksandra Gwiazdowskiego dla rozwoju polonijnego szkolnictwa zawodowego i kształcenia technicznego Polaków w Stanach Zjednoczonych były niepodważalne.

Haiman, badacz dziejów nauki polskiej w Stanach Zjednoczonych, wymienił Gwiazdowskiego obok tak wybitnych inżynierów jak Rudolf Modrzejewski. Aleksander Gwiazdowski był silną indywidualnością, potrafiącą przekonać i wzbudzić entuzjazm w środowiskach polonijnych. Tak było w przypadku SMPwA. W trakcie pracy w Pol-

sce popełnił wiele błędów. Choć to go nie usprawiedliwia, to jednak trzeba podkreślić, że jego działalność przypadła na epokę „szklanych domów”, kiedy nie tylko on uległ mitowi, iż sam fakt odzyskania niepodległości rozwiąże wszystkie problemy, a Polska wejdzie na drogę szybkiego rozwoju i dobrobytu. Inicjatywa Gwiazdowskiego przetrwała. Fabryki w Porębie i Pruszkowie stały się w dwudziestoleciu międzywojennym największym producentem obrabiarek do metali. W latach trzydziestych Stowarzyszenie Mechaników Polskich z Ameryki dawało 65% produkcji krajowej, a w dziale specjalnych obrabiarek dla kolejnictwa nawet 100%. Szkoła zawodowa założona przez SMPzA przy Wytwórni Obrabiarek i Narzędzi w Pruszkowie w grudniu 1921 r. istnieje do dnia dzisiejszego.

Stowarzyszenie Mechaników Polskich z Ameryki

Po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości społeczeństwo przystąpiło do odbudowy zniszczonego kraju.

Polonia amerykańska zdawała sobie sprawę, że dla odradzającego się państwa bardzo ważnymi problemami będzie szybkie odbudowanie gospodarki, a szczególnie jej najnowocześniejszej gałęzi – przemysłu obrabiarkowego.

Tymczasem powstawały różnorodne spółki, korporacje, które przynosząc ich założycielom i członkom zysk, pomagały w odbudowie ojczyzny.

Polonijni działacze i tamtejsza prasa przedstawiali ojczyznę jako „ziemię obiecaną”, zniszczony kraj pełen biedy, kraj dla ludzi z inicjatywą, przedsiębiorczych i pracowitych. Wśród Polonii zaczęły powstawać liczne spółki i towarzystwa akcyjne. Z wielu podmiotów gospodarczych, które zamierzały rozpocząć działalność w ojczyźnie zaledwie kilka zrealizowało swoje plany.

Na szczególną uwagę zasługuje działalność Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki, które po pokonaniu na początku lat dwudziestych licznych niepowodzeń inwestycyjnych, uchroniło przed upadkiem kilka własnych przedsiębiorstw działających do 1939 roku i po II wojnie światowej.

W 1918 roku z inicjatywy inżyniera Aleksandra Gwiazdowskiego i grupy studentów Wydziału Rzemieślniczego na Uniwersytecie w Toledo (stan Ohio) założone zostało Stowarzyszenie Mechaników Polskich w Ameryce – The Polish Mechanics Co. Inc.

Pierwszy zeszyt „Mechanika” – pisma Stowarzyszenia – wydany w 1918 roku w Toledo podawał do wiadomości nazwiska zarządu korporacji, listę członków w różnych miastach Stanów Zjednoczonych, szkic statutu oraz charakterystykę wydziału rzemieślniczego na Uniwersytecie w Toledo.

Zarząd spółki stanowili:

A. Gwiazdowski – przewodniczący i zarządca

J. Szlichciński – vice przewodniczący

E. Wójcik – sekretarz

J. Mas – skarbnik

Kolejnymi dyrektorami byli:

A. Cechnicki, J. Juruś, F. Jagodziński, J. B. Nowak.

Członkiem korporacji mógł być każdy rzemieślnik pracujący w zawodzie metalowym lub drzewnym, a więc inżynier-mechanik, elektrotechnik, rysownik, ślusarz, operator obrabiarki, modelarz, stolarz, kowal itd. Wpisowe wynosiło 10 dolarów, za które członek otrzymywał wydawnictwa Stowarzyszenia. Pieniądze członkowskie były przeznaczane na rozwój biblioteki rzemieślniczej. Stowarzyszenie Mechaników było wytwórczą kooperatywą (spółdzielnią). W 1920 roku jego przedstawiciele pojawili się w kraju i rozpoczęli działalność.

Z własnych środków zakupili:

– Towarzystwo Akcyjne „Poręba” w Porębie koło Zawiercia,

– Zniszczoną fabrykę Troetzera w Pruszkowie,

– Fabrykę traktorów „Stomag” w Wiedniu,

– Cegielnię w okolicach Bydgoszczy,

– oraz kilka innych małych zakładów.

Nie wszystkie decyzje okazały się trafne. Podejmowano je zbyt pośpiesznie, bez sporządzenia rachunku ekonomicznego i bez analiz technicznych. Reemigranci nie orientowali się w polskich realiach gospodarczych (inflacja, brak stabilizacji politycznej). Nic dziwnego, że Stowarzyszenie wkrótce zaczęło przeżywać prawdziwe trudności. Groziła mu upadłość. Rozpoczęła się batalia o ratowanie przedsiębiorstw. Stowarzyszenie wysłało delegację do marszałka

Piłsudskiego i prezydenta Wojciechowskiego z prośbą o wskazanie ludzi, którzy mogliby uratować zakłady od upadłości i pokierować nimi. W ten sposób doszło do utworzenia w dniu 1 lipca 1923 roku spółki akcyjnej pod nazwą Stowarzyszenie Mechaników Polskich z Ameryki – Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie.

SMPzA doceniało rolę szkolnictwa zawodowego. Decyzję o wybudowaniu i uruchomieniu szkół rzemieślniczo – technicznych w Pruszkowie i Porębie koło Zawiercia podjął trzeci Zjazd Stowarzyszenia Mechaników, który odbył się w dniach 25-28 lutego 1921 roku w Toledo. Delegaci Stowarzyszenia postanowili przeznaczyć na ten cel 40 tys. dolarów.

W Pruszkowie Stowarzyszenie Mechaników Polskich przeznaczyło na szkołę jeden z budynków przy ul. Puławskiego.

Nie wiadomo z jakich przyczyn nie wybudowano osobnego budynku szkolnego, ani co stało się z funduszami przeznaczonymi na ten cel.

Początek szkoły był bardzo skromny. Jedna klasa zwana wstępną liczyła 20 uczniów. Uroczystego otwarcia dokonał dyrektor techniczny Wytwórni Obrabiarek i Narzędzi inż. Jan Piotrowski. Tymczasowym dyrektorem szkoły został Jan Kozakiewicz.

Wytwórnia Obrabiarek i Narzędzi w Pruszkowie istniała do 1951 r. Przejęta została przez skarb państwa i działała dalej jako Zakłady 1 Maja a następnie Fabryka Obrabiarek „Mechanicy”. To dzięki SMPzA Pruszków stał się prężnym ośrodkiem przemysłu obrabiarkowego. W okresie PRL powstało tu Centrum Badawczo-Konstrukcyjne Obrabiarek. W wyniku transformacji ustrojowej po 1989 roku fabryka została zlikwidowana – CBKO istnieje nadal.

Założona przez SMPzA szkoła przetrwała trudne zakręty dziejowe. W 2011 roku obchodziła jubileusz 90-lecia istnienia. Wykształciła ponad 20 tys. młodzieży. Stowarzyszenie Mechaników Polskich z Ameryki zapisało piękną kartę w historii rozwoju przemysłu obrabiarkowego w Polsce i szkolnictwa zawodowego w Pruszkowie.

Elżbieta Żywień

Nauczyciel Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących

90 lat minęło...

Stęskniła się szkoła za Wami,
Wszystkimi swoimi ławkami,
Katedra tęskni...
I biały orzeł...

Tak brzmiały słowa powitania Gości w sobotni, wyjątkowy dzień, w którym obchodzono 90-lecie Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących w Pruszkowie.

W uroczystości w dniu 3 grudnia uczestniczyli przedstawiciele władz powiatowych i miejskich – Starosta pani Elżbieta Smolińska, pani Urszula Wojciechowska – Przewodnicząca Rady Powiatu Pruszkowskiego, pan Jan Starzyński – Prezydent Miasta Pruszkowa, przedstawiciele Polskiego Komitetu Olimpijskiego – pani Irena Szewińska, pan Zenon Licznarski, przedstawiciel Ministerstwa Sportu pan Andrzej Banasiak i Absolwenci Szkoły, a wśród nich Olimpijczyk – pan Tadeusz Cuch.

Ta niecodzienna uroczystość rozpoczęła się wymarszem spod szkoły na mszę świętą w intencji nauczycieli tworzących historię Jubilatki. Po mszy wszyscy ponownie spotkali się przed gmachem szkoły, aby dokonać uroczystego aktu odsłonięcia tablicy pamiątkowej ufundowanej przez Absolwentów. Słowa widniejące na tablicy:

*Dla tych, co odeszli..
Dla tych, co tworzyli przyszłość...*

wzruszyły zebranych i skłoniły do zadumy oraz refleksji nad minionym, ulotnym czasem.

W klimat niecodziennej uroczystości wprowadziły słowa piosenki:

*90 lat minęło, jak jeden dzień
To jest historia szkoły, o tym wiesz
90 lat minęło, odeszło w cień
I nigdy już nie wróci, tak to jest...*

Aż trudno było uwierzyć, że szkoła istnieje już 90 lat. W tym okresie Jubilatka, zmieniając nazwy i kierunki kształcenia, wpisywała się krok po kroku w historię miasta i regionu. Do tych słów nawiązała pani dyrektor Wanda Kurek. Zaproszeni goście składali na ręce pani dyrektor gratulacje i kwiaty. Wśród nich byli dyrektorzy pruszkowskich szkół oraz goście z Ukrainy, ze średniej szkoły ze Zdołbunowa.

Ukraińskie dzieci sprawiły niespodziankę recytując polskie wiersze i śpiewając dobrze wszystkim znaną piosenkę „Ładne oczy masz...”

Prezentem dla szkoły był tort подарowany przez prezesa firmy ASMET Pana Andrzeja Sajnaga. Symboliczną niespodzianką okazała się złota śruba nawiązująca do kierunków kształcenia w szkole.

W tym dniu odbyło się ślubowanie uczniów klas pierwszych. Ta tradycja wpisała się na stałe w historię szkoły od 2006 roku, kiedy to decyzją Rady Pedagogicznej święto szkoły zostało ustalone na dzień 1 grudnia.

Jubileusz 90-lecia był okazją do wspomnień o nauczycielach, pracownikach i absolwentach. Wzruszającym momentem było odczytanie nazwisk byłych dyrektorów i umieszczenie ich portretów na tablicy.

Święto Jubilatki było okazją do wspomnień, przywołania ważnych wydarzeń z życia szkoły. Obecni wrócili pamięcią do miejsc, ludzi i zdarzeń.

W tę podróż sentymentalną po dawnych czasach zabrali wszystkich konferansjerzy prowadzący uroczystość: Paulina Leszczyńska z klasy II LA i Marcin Czarnowski z III LS.

Wspominano pedagogów wielu pokoleń, wychowawców i zasłużonych trenerów. To dzięki nim szkoła odnosiła i odnosi sukcesy na różnych płaszczyznach. Wśród nich górował sport.

Płomień olimpijskiej rywalizacji zapłonął przed laty i płonie do dnia dzisiejszego. To on rozpałił serca naszych sportowców, którzy zdobywali medale olimpijskie. Mówiła o tym w swoim przemówieniu p. Irena Szewińska.

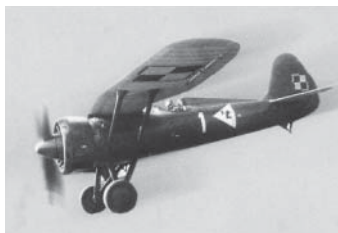
Wszystkich zebranych wzruszyły i zachwyciły piosenki wykonane przez naszych uczniów.

Na sali MOS-u spotkały się różne pokolenia tworzące historię naszej szkoły, z dnia na dzień piękniejszej. W przemówieniach podkreślono zaangażowanie pani dyrektor i pomoc pani Starosty, wspierającej szkołę finansowo, której Przewodnicząca Rady Rodziców, pani Iwona Kowalec wręczyła bukiet kwiatów.

Na zakończenie nastąpiło otwarcie Sali Tradycji, powstałej dzięki naszym absolwentom.

Sobotnie wrażenia pozostały głęboko w sercach i przeszły już do historii, aby następne młode pokolenia mogły je zabrać w kolejną podróż sentymentalną i powspominać, jak to było i bywało przez te... kolejne 90 lat.

Jacek Ryszard Przygodzki
profesor Politechniki Warszawskiej



ODSŁONIĘCIE I POŚWIĘCENIE TABLICY KU CZCI PILOTA Z PRUSZKOWA, JERZEGO PALUSIŃSKIEGO

Najstarsi mieszkańcy Pruszkowa pamiętają skład opałowy przy ul. Bolesława Prusa 36. Należał on do małżonków Jadwigi i Adama Palusińskich, którzy przenieśli się do Pruszkowa z Częstochowy. Nie wszyscy jednak wiedzą, że ich syn był pilotem sławnego Dywizjonu 303.

PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWE
„SPOŁEM”
— A. PALUSIŃSKI —
P R U S Z K Ó W
Kantor i składy: B. Prusa 36, tel. 2275
Adres telegraficzny:
„SPOŁEM” — PRUSZKÓW
—
Specjalność:
**Hurtowa i Detaliczna Sprzedaż
Materiałów Opałowych
i Budowlanych**

Fotografia nagłówka druku firmowego

ŻYCIORYS

Jerzy Hipolit Palusiński urodził się w Częstochowie 13 sierpnia 1912 r. i tam ukończył Liceum im. Henryka Sienkiewicza. Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości rozpoczął naukę w Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie. Przygotowywał się do tego jeszcze w trakcie nauki w liceum szkoląc się na szybowcach. W dniu 12 września 1935 r. otrzymał jako absolwent dziesiątej promocji jednocześnie dyplom ukończenia kursu pilotażu i dyplom ukończenia kursu podchorążych rezerwy lotnictwa w grupie pilotów, uzyskując tytuł podchorążego rezerwy.

Otrzymał przydział do 1 Pułku Lotniczego, w którym służył aż do wojny w stopniu podporucznika. W sierpniu 1939 roku jego eskadra weszła w skład Brygady Pościgowej, która miała za zadanie obronę Warszawy. W dniu 1 września o godz. 6.30 Brygada otrzymała meldunek o wyprawie bombowej lecącej z Prus Wschodnich w kierunku Warszawy. Spotkanie nastąpiło w rejonie Wyszkowa. Jerzy Palusiński stracił kontakt wzrokowy ze swoją eskadrą, która weszła w chmury i wtedy dostrzegł grupę dwunastu niemieckich samolotów, które rozpoznał jako bombowce – Dornieri – bez chwili namysłu zaatakował je. Reszta eskadry wyszła z chmur i włączyła się do boju. Tak rozpoczęła się pierwsza bitwa powietrzna II wojny Światowej, która trwała z przerwami, w miarę jak nadlatywały kolejne eskadry bombowców, aż do późnego popołudnia.



Niemiecki samolot zestrzelony pod Wyszkowem 1 września 1939 r.

W zaatakowanej grupie były jednak także dwusilnikowe Messerschmidty, które często były brane za bombowce. Po zestrzeleniu dwóch Dornierów, ostrzeleniu samolotu dowódcy tej grupy majora Waltera Grabmana i ranienia go – ppor. Jerzy Palusiński został zestrzelony przez feldfebla Herberta Schoba. Ranny w lewą rękę, z uszkodzonymi sterami, wylądował pod Nadmą (koło Kobyłki).



Tak wyglądał zestrzelony samolot ppor. J. Palusińskiego...



... a tak spreparowali go Niemcy dla celów swojej propagandy.

Ppor. J. Palusiński został przewieziony do Warszawy, do wojskowego szpitala im. Marsz. J. Piłsudskiego. Pisała o tym prasa warszawska (Express Poranny).

4 września 1939 r.

Bohaterski pilot ppor. Palusiński o swej walce z niemieckimi bombowcami

W szpitalu okręgowym im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie przebywa ranny ppor. pilot Jerzy Palusiński, który w pierwszym dniu napadł niemiecki na Polskę sześcioro pod Wystrkowem bitwę z 12 nieprzyjacielskimi bombowcami.

— Leżałem wraz z moim dywizorem myśliwców — opowiada dalszy oficer — na około 2 i pół km wysokości. W odległości kilkudziesięciu km od Warszawy, napotkaliśmy 12 nieprzyjacielskich bombowców. Natychmiast je zaatakowaliśmy. Przeważą ogniom była niewątpliwie po stronie bombowców, widocznych maszyn, uderzonych w karabiny maszynowe i działka.

W pierwszej chwili znalazłem się nad rzeką walczącymi i zauważyłem samolot niemiecki, który szedł pod kątem prostym do mojego kierunku. Wziąłem go na cel i oddałem serię strzałów z odległości ok. 200 m. Jednocześnie jednak otrzymałem ostrą z dziobka i z km-ów z drugiego niemieckiego bombowca, który zaatakował mnie z tyłu. Momentalnie ołtwa raziła mi twarz i okulary i poczułem ból w lewej ręce. Nie nie widziałem.

Nieod razu zacząłem prawą ręką wyłączać kontakt i zamykać kramy benzynowe. Następnie schizałem okulary. Okazało się, że widać.

Maszyna była w locie nurkowym, bo puściłem ster. Spojrzałem na wysokościomierz — miałem 2300 m.



Ranny ppor. Palusiński.

Musieliśmy na wszelką cenę wyprowadzić maszynę. Chciałem ją uratować. Chwyciłem drążek sterowy i usiłowałemściągnąć go na siebie. Nie udało mi się to. Wiedzenie dostałem go

sterach. Jedyny ratunek miałem w „michym statoczniku”. Jednak kółko od tego statocznika zawadziło się w dole kabiny po lewej stronie, a moja lewa ręka była całkowicie bezwładna. Z trudem wykręciłem się i chwyciłem za kółko statocznika prawą ręką, krecąc nim się do zupełnego oporu. Okazało się, że ster działa. Na wysokościomierzu miałem już 1300 m.

Zaczęłem się rozglądać za miejscem do lądowania. Zobaczyłem kawałek wagiłdnie równi łąki i uziłowałem na niej osadzić samolot. Łączka okazała się jednak za krótką, tak że ma-

Bezpieczeństwo lokatorów domu zapewni schron w piwnicy

Kto posiada w domu schronienie lub schron, może nim bezpiecznie używać. Jest rzecz bardzo wskazana, aby schron posiadał schronienie i schronienie.

UN HEROS POLONAIS

Le lieutenant Piłsudski qui, après avoir atterri, à bord de son avionnette, douze avions allemands de bombardement, et ayant épuisé toutes ses munitions, se jeta sur un puissant appareil ennemi pour le détruire. Muni de son parachute, il se précipita dans le vide. En arrivant au sol, il se fit plusieurs blessures aux bras et aux jambes. On le voit ici sur son lit d'hôpital.

Tę fotografię przedrukowała prasa francuska. Redaktor pozwolił zaleść swej wyobraźni zmieniając opis walki na bardziej według niego efektowny.

Za tę walkę 3 września został odznaczony Krzyżem Walecznych jako pierwszy pilot II Wojny Światowej. Marszałek Edward Śmigły – Rydz dekorował go osobiście w szpitalu.

Został ewakuowany wraz ze szpitalem do Równego. Po powrocie do Warszawy wziął ślub z Anną Głowacką, a następnie przedarł się na Węgry, gdzie został internowany. Po ucieczce z obozu dotarł do Francji – tu wyjęto mu odłamek z ręki i przywrócono władzę w palcach dłoni. Po upadku Francji znalazł się wraz z innymi pilotami w Wielkiej Brytanii, gdzie w sierpniu 1940 r. otrzymał przydział do Dywizjonu 303. Pytany o dane osobowe jako ostatni adres w Polsce podawał Pruszków, ul. Bolesława Prusa 5.

Żona Anna zamieszkała z jego matką Jadwigą Palusińską w Pruszkowie. Ich wojenne losy były opisane w numerze 2/2008 Przeglądu Pruszkowskiego. Informacje o jego służbie wojskowej można znaleźć w Internecie. W czasie wojny był dwukrotnie awansowany: na stopień porucznika a następnie kapitana.

Do końca życia mieszkał wraz z żoną w Fordingbridge w Anglii. Zmarł 14 maja 1984 r.



Tablica nagrobkowa na cmentarzu w Fordingbridge

ODSŁONIĘCIE TABLICY PAMIĄTKOWEJ

W ubiegłym roku Koło Seniorów Aeroklubu Częstochowskiego poparło inicjatywę wmurowania tablicy pamiątkowej na gmachu Liceum im. Sienkiewicza. Najważniejsze było tu stanowisko dyrektora Liceum, która dba o kultywowanie wspaniałych tradycji widząc w tym ważny czynnik wychowawczy. Liceum ma izbę pamięci ,w której wśród wielu innych są dokumenty i pamiątki po dwóch absolwentach – pilotach, którzy 1 września 1939 r. walczyli nad Warszawą: Hieronimie Dudwale i Jerzym Palusińskim. Przy wsparciu środowiska lotniczego i władz miejscowych w dniu 25 października 2011 odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy.

Licznie stawili się przedstawiciele środowiska lotniczego. Dowódcę Sił Powietrznych Rzeczypospolitej Polskiej gen. broni Lecha Majewskiego reprezentował gen. brygady Andrzej Łoziński. W uroczystości wzięli także udział przedstawiciele Międzynarodowej Federacji Lotniczej, Aeroklubu Polskiego, Stowarzyszenia

PROGRAM UROCZYSTOŚCI

1. Godzina 11³⁰ wystąpienie warty honorowej
2. Otwarcie uroczystości i powitanie gości.
3. Nakreślenie sylwetki kpt. pil. Jerzego Hipolita Palusińskiego
4. Odsłonięcie tablicy upamiętniającej częstochowskiego bohatera.
5. Poświęcenie tablicy i słowa modlitwy za spókoj duszy kpt. pil. Jerzego Hipolita Palusińskiego.
6. Złożenie kwiatów przez delegacje instytucji i organizacji lotniczych pod tablicą.
7. Przemówienia gości.
8. Oficjalne zakończenie uroczystości.



Prezydent Miasta Częstochowy
Dyrektor IV Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Sienkiewicza
Prezes Aeroklubu Częstochowskiego
Przewodniczący Częstochowskiego Klubu Seniorów Lotnictwa
zapraszają

Sz. P.

Na uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy ku czci bohaterskiego pilota Wojny Obronnej Polskiej 1939, częstochowianina kpt. pil. Jerzego Hipolita Palusińskiego, która odbędzie się 25 października 2011 roku w Częstochowie na dziedzińcu IV Liceum przy alei Najświętszej Maryi Panny nr 56
Początek uroczystości o godzinie 12⁰⁰.

W imieniu organizatorów
Włodzisław Słabicki
Prezes Aeroklubu Częstochowskiego

Lotników Polskich, Rady Seniorów Lotnictwa, Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie oraz 32. Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku.

Władze miasta reprezentował wiceprzewodniczący Zarządu Miasta Mirosław Soborak, a władze duchowne metropolita częstochowski abp Stanisław Nowak. Rodzinę reprezentowali: bratanek Jerzego Palusińskiego – Jacek R. Przygodzki z żoną Zofią oraz bratanek Anny Palusińskiej – Marek Głowacki.

Wojsko zapewniło odpowiednią oprawę uroczystości. Była orkiestra wojskowa i kompania honorowa złożona z podchorążych.



Przybyły poczty sztandarowe kombatanów i trzech szkół częstochowskich oraz wielu uczniów. Jeden z uczniów deklamował z wielkim zaangażowaniem wiersz ułożony na tę okoliczność.



Przy tablicy zaciągnięto
wartę honorową

Pierwszy przemawiał Prezes Aero-klubów: Polskiego i Częstochowskiego Włodzimierz Skalik. Po nim w imieniu Dowódcy Sił Powietrznych RP gen. broni Lecha Majewskiego zabrał głos gen. brygady Andrzej Łoziński.



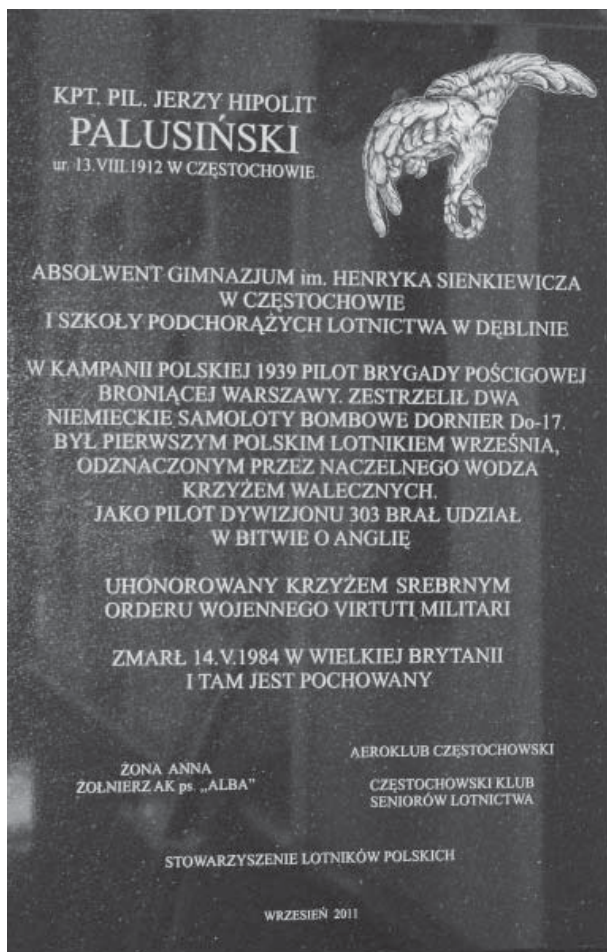


Dyrektor Liceum p. Jadwiga Sipa powiedziała:
– Nasza młodzież wie, że dbanie o historię to jedno z głównych zadań i bycie sienkiewiczakiem zobowiązuje.



O drodze życiowej kpt. Jerzego Palusińskiego mówili ppłk Bolesław Gaczkowski i prof. Jacek Przygodzki.

Tablicę poświęcił abp Stanisław Nowak. Na tablicy jest jeszcze jeden akcent pruszkowski, ponieważ żona Jerzego, Anna, była członkiem AK w Pruszkowie.



Uroczystość zakończyło składanie kwiatów przez przedstawicieli wojska, władz miejscowych, młodzieży szkolnej i rodziny.

KATYŃ... OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Katyń. W Polakach ta krótka nazwa wywołuje więcej emocji, niż można sobie wyobrazić. Wiosną 1940 roku, na rozkaz Stalina, funkcjonariusze NKWD zamordowali ponad 14 tysięcy polskich jeńców wojennych i blisko 7,5 tysiąca cywilnych więźniów – czyli co najmniej 21 857 obywateli polskich – strzałem w tył głowy z broni krótkiej. Wśród ofiar byli oficerowie rezerwy Wojska Polskiego – przedstawiciele wolnych zawodów, nauczyciele, artyści, naukowcy... Rozstrzelano również policjantów i funkcjonariuszy Straży Więziennej. Byli oni przetrzymywani w trzech obozach: w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Stamtąd przewożono ich, mordowano i grzebano w masowych grobach – w Katyniu, Piati- chatkach na przedmieściu Charkowa i we wsi Miednoje.

O egzekucji cywilów wiadomo niewiele. Prawdopodobnie przewożono ich z więzień na terytorium Polski do więzień na Białorusi i Ukrainie i tam mordowano, a pochowano w Kuropatach i Bykowni.

Dlaczego dokonano tej masakry? Uważano, że polscy jeńcy i więźniowie są zbyt niebezpieczni dla Związku Sowieckiego. Bez względu na swoją sytuację myśleli tylko o tym, by odzyskać Polskę Niepodległą. Uznano, że stanowią „zdeklarowanych i nierokujących nadziei poprawy wrogów władzy sowieckiej”.

Chociaż mordów dokonano w ścisłej tajemnicy, już w 1943 r. Niemcy ogłosili odkrycie masowych grobów w Katyniu. Jednak, gdy Rząd Polski chciał wyjaśnić tę sprawę, ZSRR zerwał z nim stosunki i oskarżył o kolaborację z nazistami. Przez kolejne dziesięciolecia władze Związku Sowieckiego konsekwentnie utrzymywały, że zbrodni dokonali niemieccy faszyci – za głoszenie innych poglądów w bloku wschodnim można było trafić do więzienia. Z kolei o wymordowaniu cywilów nikt nie wiedział przez pół wieku. Dopiero w 1990 r. Michaił Gorbaczow oficjalnie przyznał, że zbrodni dokonało NKWD. Przyczyną polsko-rosyjskich spięć było śledztwo umorzone przez rosyjską prokuraturę w 2004 r. Sprawa ta podzieliła Polskę oraz Rosję i nadal dzieli, a wiele kwestii pozostało niewyjaśnionych. Dlatego tak ważne jest przekazywanie pamięci o tych tragicznych wydarzeniach kolejnym pokoleniom. Służą temu takie akcje, jak „Katyń... Ocalić od zapomnienia”. Jest to społeczny program trwający już od 2008 r. Jego celem jest uczczenie pamięci ofiar Zbrodni Katyńskiej poprzez zbieranie dokumentów, zdjęć i informacji o nich oraz posadzenie 21 857 Dębów Pamięci – dla każdego Bohatera zamordowanego w Katyniu, Charkowie lub Twerze. Do tej pory posadzono blisko 4200 drzew, nie tylko w Polsce, ale również za granicą – chociażby w USA, Rosji, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Norwegii i wielu innych. Zbierane dokumenty dotyczące Bohaterów są pozyskiwane od członków Ich rodzin czy lokalnej społeczności w miejscu Ich zamieszkania, a następnie starannie archiwizowane. W Programie uczestniczy przeszło 3 tysiące instytucji, w tym szkoły, komendy policji, starostwa powiatowe, szpitale, parafie, drużyny harcerskie, media... W jego realizację zaangażowały się również: Narodowe Centrum Kultury, Instytut Pamięci Narodowej, Muzeum Powstania Warszawskiego oraz Stowarzyszenie Rodzin Katyńskich, a sam Prezydent RP Lech Kaczyński objął Program honorowym patronatem.

W 2010 r. obchodziliśmy 70. rocznicę Zbrodni Katyńskiej. W całej Polsce odbywały się wówczas liczne obchody, uroczystości. Byliśmy też wtedy świadkami tragicznego wydarzenia – katastrofy samolotu Tu-154 w Smoleńsku, w której zginął prezydent Lech Kaczyński i wszystkie osoby obecne na pokładzie – wybitna delegacja zmierzająca na obchody wydarzeń sprzed siedemdziesięciu lat oraz załoga samolotu. Cała Polska pogrążyła się wtedy w żałobie.

Pruszków również nie zapomniał o przeszłości. W roku szkolnym 2009/2010 Gimnazjum nr 4 włączyło się w program „Katyń... Ocalić od zapomnienia”. Uczniowie uczestniczyli w lekcjach historii i języka polskiego, w czasie których dokładnie poznali szczegóły Zbrodni Katyńskiej. Uczestniczyli w konkursach – plastycznym i literackim, czego owocem są niepowtarzalne dzieła, przejmujące tragizmem minionych zdarzeń. W kwietniu 2010 r. w szkole tej odbyła





się uroczysta akademia z udziałem gości, przedstawicieli władz miejskich i powiatowych oraz proboszcza parafii św. Kazimierza ks. Mariana Mikołajczaka (Przegląd Pruszkowski 2/2010).

Posadzono wtedy dwa dęby za budynkiem szkoły, na cześć dwóch Bohaterów, o których informacje zbierali uczniowie – majora Stefana Olesińskiego i porucznika Mariana Kalinowskiego. Major Olesiński był obserwatorem w 3. Pułku Lotniczym. Do niewoli dostał się prawdopodobnie już 17 września 1939 r. Porucznik Kalinowski pracował jako dyrektor szkoły w Ośmi-gowiczach na Ukrainie, na początku wojny otrzymał powołanie do wojska. Zostawił żonę i małego synka. Obaj młodzi, zapewne z wieloma planami na przyszłość, obaj brutalnie pozbawieni marzeń w Charkowie.

Jest w Gimnazjum nr 4 jeszcze jedno miejsce szczególne. Nazywa się je salą katyńską. Korytarz, którym codziennie prze-

chodzą tłumy młodych ludzi, zdobi ukazany na ścianach lasek brzozowy. Taki, jak ten w Katyniu. Tam właśnie można przeczytać o Zbrodni, o akcji „Katyń... Ocalić od zapomnienia”; nie zapomniano również o ofiarach katastrofy smoleńskiej. Te właśnie Dęby Pamięci, znajdujący się nieopodal szczególny głąz oraz wyjątkowa sala mają codziennie przypominać uczniom Gimnazjum, że kiedyś ktoś dokonał niehumanitarnej zbrodni wbrew wszelkim prawom. Że ktoś inny umarł w imię Ojczyzny, pograżając w rozpacz rodziny i przyjaciół.

Wszystkie takie akcje, organizowane na terenie całej Polski, wszystkie takie miejsca są świadectwem, że Polacy potrafią pamiętać. Potrafią pielęgnować historię i przekazywać ją kolejnym pokoleniom. Jako naród musimy podążać za słowami Jana Pawła II:

„Prawda Katynia jest stale obecna w naszej świadomości i nie może być wymazana z pamięci Europy”.

Po co komu ten Konkurs?

Refleksje organizatora z okazji dziesiątej edycji – bądź co bądź – jubileuszowej, pozwoliłem sobie rozpocząć od parafrazy niegdyśszego pytania Piotra Mitznera („Po co komu dziś Norwid?”).

Podobnie, jak tamto pytanie – i moje pozostać musi retorycznym.

Dziesięć lat. Około trzech tysięcy poetów (może nieco mniej, bo wiele nazwisk się powtarza), blisko osiem tysięcy wierszy. Z Polski

i spoza niej. Już od pierwszej edycji napływają wiersze z Białorusi, Ukrainy i Litwy. W następnych z Austrii, Niemiec, Szwecji, Francji, Wielkiej Brytanii i Irlandii. Ostatnio z Kanady i Stanów Zjednoczonych Ameryki. Poeci znani i uznani, już publikujący oraz debiutanci. Dla nich to być może nadzieja na debiut, na zaistnienie. Ilu z nich debiutowało w pruszkowskim Konkursie? Czy ktoś to kiedyś zbada? Napisać poważną rozprawę? A ilu poetom złamaliśmy serce?

Ze wzruszeniem odczytuję znajome nazwiska w prasie literackiej, wśród nominowanych do prestiżowych nagród:



Paszportu Polityki, Nike, Księdza Twardowskiego... Mówię o nich: „nasi poeci”.

Czasem sięgam do poprzednich antologii, z których każdą traktuję trochę jak swoje dziecko i czytam ulubione wiersze. W każdej mam swoje ulubione. Podobno nasz Konkurs ma dobrą opinię w środowisku literackim. Mówi się o nim, że to jeden z ważniejszych, liczących się konkursów poetyckich. Może i tak.

Dla mnie to najważniejszy konkurs na świecie. Jestem wielce wdzięczny wszystkim, którzy przyczyniali się i dalej przyczyniają do jego trwania oraz wciąż rosnącej rangi.

Dziękuję Grażynie Tatarskiej, pruszkowskiej poetce, która Konkurs wymyśliła i gorąco namawiała mnie do jego realizacji.

Ogromne podziękowania składam Janowi Starzyńskiemu, prezydentowi Pruszkowa, który uwierzył w naszą ideę i od pierwszej edycji otoczył go swoją opieką – w ostatnich latach bardzo wymierną.

Dziękuję wspaniałym jurorom, których nazwiska i osiągnięcia w sposób znaczący podnosiły rangę naszego przedsięwzięcia. Profesor Józef Fert, norwidolog z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Krzysztof Gąsiorowski i doktor Tomasz Korpysz z Pracowni Słownika Języka Cypriana Norwida obdarzyli nas swoim zaufaniem pierwsi. W latach następnych pracowali dla Konkursu: doktor Ewa Szczeglacka oraz doktor Piotr Mitzner, oboje z Uniwersytetu im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, doktor Przemysław Dakowicz z Uniwersytetu Łódzkiego, wybitni poeci – Leszek Szaruga, Wojciech Kass, Krzysztof Kuczkowski i Paweł Szydeł.

Serdecznie dziękuję Adamowi Rachockiemu, właścicielowi Firmy Wydawniczej Rachocki i S-ka z Pruszkowa za pomoc nie do przecenienia w realizacji corocznej antologii wierszy pokonkursowych oraz Grzegorzowi Witkowskiemu za cierpliwe tych wierszy ilustrowanie.

Dziękuję pracownikom Książnicy Pruszkowskiej, a przede wszystkim dziękuję poetom, którzy zechcieli zawierzyć nam swoje wiersze.



Ten Konkurs jest dla Norwida, ale przecież także dla Was.

20 maja o godzinie 12.00 w Sali Koncertowej Pałacyku Sokoła odbył się uroczysty Finał X Edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. C. K. Norwida. Licznie przybyli poeci nagrodzeni, nienagrodzeni oraz czytelnicy poezję miłujący albo tylko lubiący. Oraz media.

Po zwyczajowych przemówieniach i refleksjach wokół naszego Konkursu (wszak to już dziesiąta edycja) w wykonaniu organizatora, wiceprezydent Andrzej Królikowski odczytał werdykt Jury i przystąpił do wręczania nagród i wyróżnień.



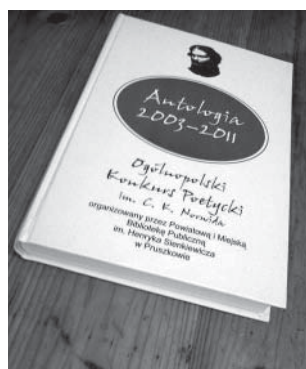
Nagrodę Pierwszą oraz Nagrodę Specjalną Prezydenta Pruszkowa – **Norwidowe Pióro** otrzymała Marta Kapelińska z Torunia.

Nagrodę II Jury przyznało Marcinowi Tomczakowi z Ostrołęki.

Nagrodę III – ex aequo – otrzymali: Jerzy Fryckowski z Dębicy Kaszubskiej oraz Piotr Rowicki z Ostrowi Mazowieckiej.

Jury postanowiło także wyróżnić Janusza Cichonia z Lwówka Śląskiego, Michała Witolda Gajdę z Wrześni oraz Agnieszkę Marek z Bielska Białej.

Zwyczajowo laureaci zostali poproszeni o przeczytanie swoich wierszy.



Niewątpliwą atrakcją Jubileuszu była wydana z tej okazji luksusowa antologia. Oprócz poetów, otrzymali ją wszyscy goście Pruszkowskiej Książnicy. Tegoroczna antologia ma charakter specjalny, bowiem składają się na nią wiersze nagrodzone i wyróżnione w obecnej edycji oraz wszystkie nagrodzone utwory z lat poprzednich – od pierwszej edycji Konkursu.

Poniższy artykuł jest zapowiedzią książki przygotowanej przez wnuka o życiu i działalności tego zasłużonego Pruszkowianina i jego rodziny. Książka jest w przyszłorocznych planach edytorskich Książnicy Pruszkowskiej [red.].

Krzysztof Kamieński

Stefan Szeppe – pruszkowski działacz i publicysta

Stefan Szeppe urodził się w Warszawie w 1885 roku. Do Pruszkowa przybył w 1920 roku i pozostał tu do końca swoich dni. Tak chciało przeznaczenie. Przeżył w tym mieście wiele lat. I tych dobrych i tych niedobrych. Prowadził bogate życie wydawcy, publicysty i właściciela drukarni. Zmarł w Pruszkowie w 1977 roku. Ślady biograficzne przysypywał czas. Na szczęście istnieją rodzinne przekazy ustne, ocalałe dokumenty i ludzie zainteresowani w upowszechnianiu historii miasta Pruszków. No i ja. Krzysztof Kamieński, wnuk Stefana Szeppe. Mozolnie, przez wiele lat, kompletowałem stare fotografie, listy i dokumenty. Zaglądałem do bibliotek i muzeów w poszukiwaniu materiału.

Powoli i systematycznie ukazywała się moim oczom pasjonująca biografia człowieka, który przeżył czynnie powstanie w Królestwie Kongresowym w 1905 roku, pierwszą wojnę światową, wojnę bolszewicką, drugą wojnę światową, odbudowę ojczyzny, nacjonalizację własnej drukarni i trudne czasy czerwonych komunistów.

Zresztą cały ten okres był trudny. Już w Królestwie Kongresowym ludności polskiej nie rozpieszczano. Ostatecznie, dwa po-

wstania zrobiły swoje i rusyfikacja resztek Polski była podstawowym zadaniem rosyjskich władz. Kiedy w 1905 roku dochodzi w Królestwie Kongresowym do rozruchów, gdzie padają zabici i ranni, Stefan Szepe jest w szkole handlowej i odbywa jednocześnie praktykę w drukarni, jako zecer. Angażuje się w ruch „kiłńczyków”, protestuje przeciwko zakazowi nauki języka polskiego w szkołach, zdziera afisze carskich władz. Ma wtedy 20 lat.

Rok później wyjeżdża do Sejna, gdzie pracuje przez kilka miesięcy, jako zecer, a następnie zostaje szefem drukarni firmy litewskiej Laukaitis i S-ka, drukującej czasopismo „Saltinis”, jak również inne litewskie wydawnictwa. W tym czasie zakłada w Sejnach polski teatr, bibliotekę polskich książek i pomaga w założeniu polskiej placówki handlowej „Gospodarz”. Żeni się.

Polski patriotyzm młodego drukarza nie podoba się władzom litewskiej firmy. Dochodzi do konfliktu, w wyniku którego Stefan Szepe opuszcza Sejny i wyjeżdża do Wilna. Tu prowadzi drukarnię ks. Rutkowskiego. Zakłada również, ze współnikiem, „Wydawnictwo Bociąg-Szepe”, gdzie drukuje serie pocztówek o polskich treściach patriotycznych i religijnych. W 1914 roku wybucha pierwsza wojna światowa. Wilno przeżywa kolejne ataki wojsk. I tak zajęte zostaje przez Niemców, potem przez Rosjan, następnie przez wojsko polskie. Te wydarzenia dzieją się na przestrzeni sześciu lat. Stefan Szepe postanawia, mając trudności w prowadzeniu drukarni, zostać nauczycielem polskiej szkoły. Kończy kursy dla nauczycieli i jest skierowany do pracy w polskiej szkole. W sierpniu 1920 roku Wilno zostaje znowu zdobyte przez Rosjan. Stefan Szepe zostaje wysłany rozkazem Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich do pracy w jednej z drukarni warszawskich dla potrzeb wojskowych. Pracuje, jako zecer w Warszawie. Mieszka w Pruszkowie przy ulicy Kościelnej. Na początku kolejnego roku przyjeżdża rodzina z Wilna. Dwuletni syn Tadeusz umiera podczas męczącej podróży pociągiem. Rodzina Szepe wynajmuje mieszkanie przy ulicy Ołówkowej. Stefan Szepe nadal pracuje jako zecer w drukarni „Artystyczna”, a potem do 1932 roku w drukarni Piekarniaka w Warszawie. W 1921 roku rodzi się syn Piotr.

Stefan Szepe rozpoczyna od 1928 roku działalność wydawniczą. Jego sprzymierzeńcy to bracia Kwasiborscy i ksiądz Tysza, ówczesny proboszcz parafii św. Kazimierza. Stefan Szepe zostaje wydawcą pisma „Głos Pruszkowa”. Jest to wznowienie działalności pisma wydawanego już w latach 1919-20, kiedy to redaktorem naczelnym był Józef Kwasiborski, a wydawcą „Koło Młodzieży przy Towarzystwie Krajoznawczym w Pruszkowie”. Z końcem 1930 roku zawiesza jednak wydawanie dalszych numerów, ale jeszcze w pierwszych dniach października 1930 rozpoczyna wydawanie własnego, nowego pisma „Echa Podmiejskie”. W tym czasie przygotowuje się do założenia własnej drukarni, pisuje artykuły do prasy pruszkowskiej i okolicznych wydawnictw. W 1936 roku zostaje właścicielem drukarni „Estetyczna” w Warszawie przy Kruczej 22.

Trzy lata później wybuchła druga wojna światowa. We wrześniu ginie w obronie Warszawy jedyny syn Piotr, Harcerz Orli, drużynowy 14 Mazowieckiej Drużyny im. Stefana Czarnieckiego.

Przychodzą ciężkie lata okupacji. Trzeba odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Czasy konspiracji. Drukarnia „Estetyczna” drukuje nielegalną prasę i fałszerstwa różnego rodzaju, szkodzące okupantowi. W drukarni i domu Stefana Szepe w Pruszkowie znajdują schronienie Żydzi. Córka Maria Szepe roznosi nielegalną prasę. Druga córka, Alina działa czynnie w AK. Po klęsce Powstania Warszawskiego, Stefan Szepe wyprowadzony z Warszawy przechodzi przez obóz przejściowy w Pruszkowie – Dulag 121. Ma szczęście – zostaje zwolniony.

Do Warszawy udaje się w styczniu 1946 roku. Drukarnię „Estetyczną” na Kruczej pogrzebały cztery piętra zbombardowanej kamienicy. I znowu rozpoczyna się nowy etap. W maju 1946 roku, po trzech dniach odgruzowywania, dokopuje się do kantoru, by stwierdzić, że wszystko stracił. Ma wtedy sześćdziesiąt lat. Nie poddaje się i już rok później drukarnia „Estetyczna” pracuje pełną parą pod nowym adresem na Alberta 3. Niestety, czas spokojnej egzystencji nie trwa długo. Komunistyczny reżim falą nacjonalizacji niszczy wszystkie polskie drukarnie. Właściciele zmuszani są



do oddania mienia i zawieszenia działalności. Na zawsze. Stefan Szepe ma sześćdziesiąt pięć lat i jeszcze raz stoi przed ruiną swojej egzystencji. On, wysoko wykwalifikowany mistrz sztuki drukarskiej, publicysta, właściciel gazet i drukarni musi udowadniać komunistom, że posiada znajomość składania i może pracować w zawodzie zecera. Czasy upokorzeń. Ostatecznie Stefan Szepe przechodzi przez komunistyczne formalności i odnajduje się jeszcze raz w swoim skomplikowanym życiu. Zaczyna pracę w spółdzielczości, gdzie początkowo prowadzi drukarski punkt usługowy. Rezygnuje jednak z kierowniczej funkcji i pracuje jako zecer. Odchodzi z pracy w wieku 78 lat. Co można robić po przejściu takich kolei losu w tym wieku?

Stefan Szepe zajmuje się publicystyką. Uprawia dalej gimnastykę, chodzi do łaźni warszawskich i zostaje opiekunem społecznym. On, osiemdziesięciolatek, pomaga bezradnym emerytom po

sześćdziesiątce. Bierze dalej czynny udział w życiu kulturalnym Pruszkowa. Jego przedwojenni przyjaciele: dziekan Edward Tyszka, Józef Kwasiborski jeszcze żyją i znowu stara trójka spotyka się na obiadach przy ulicy Chopina, tak, jak za dawnych lat. W 1977 roku Stefan Szepe ma 92 lata. Czas odejść z tego świata. Żegna się z rodziną i tydzień później umiera. Zabiera ze sobą lata walki i nadziei na lepsze jutro. Ten, którego dynamika życia była więcej niż fascynująca, którego żelazna konsekwencja w postępowaniu doprowadzała zawsze do celu. Ten, który na Rosjan nie mówił inaczej jak moskale, na propagandę komunistów odpowiadał machnięciem ręki i przewidywał szybki koniec epoki socjalizmu. Ten, który był człowiekiem niezłomnych zasad, dla którego Ojczyzna, Kościół i Rodzina i związane z nimi wartości były najważniejsze w jego życiu.

JAK ZOSTAŁAM PRUSZKOWIANKĄ

Jestem mieszkanką Pruszkowa przeszło 50 lat. Pierwszy raz znalazłam się w tym mieście w październiku 1944 roku.

Niestety był to obóz przejściowy Durchgangslager 121 zwany w skrócie Dulag 121 zorganizowany przez okupanta na terenie Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Pruszkowie z przeznaczeniem dla wypędzonych ze stolicy mieszkańców w czasie i po upadku Powstania Warszawskiego. Los zdecydował, że do Pruszkowa powróciłam i zamieszkałam w tym mieście na długie lata.

Urodziłam się w Warszawie a zamieszkaliśmy w cichej, zielonej, nadwiślańskiej dzielnicy zwanej Żoliborzem przy ulicy Krasieńskiego 6. W lecie 1944 roku rodzice rozpoczęli niezbędne przygotowania, abym mogła rozpocząć naukę w szkole podstawowej. Miałam już tornister z tektury lakierowanej na brązowo zamykany na metalowy, obrotowy zameczek, trochę zeszytów, piórnik oraz, być może, za przyczynkiem szewca z sąsiedniej ulicy, Karpińskiego, cudem zrealizowany zakup butów – trzewików sznurowanych z wysoką cholewką, oczywiście o dwa numery za dużych. Buty były całe z brązowej skóry na skórzanych skrzypiących podeszwach.

Cieszyłam się bardzo, gdyż w czasie okupacji hitlerowskiej chodziło się w butach z podeszwami z drewna czasem przeciętymi w poprzek na linii palców i połączonymi tylko paskami ze skóry, aby łatwiej można było chodzić, bowiem taka udoskonalona podeszwa zginała się jakby była wykonana cała ze skóry. Moje nowe buty daleko przewyższały te utarte okupacyjne normy. Nie mogłam się doczekać zimy, a co najmniej jesiennej słoty, a lato było wyjąt-

kowo upalne. Piszę o tych butach tak ciepło, bowiem w dalszym biegu wypadków były one przedmiotem swego dramatu.

W roku 1944, przez krótki okres, chodziłam do przedszkola przy ulicy Felińskiego. Mama jednak zdecydowała, że nie jest to bezpieczne. Przewidywała, że na wypadek, gdyby rodzice byli zatrzymani w łapance, nieodebrane dziecko mogłoby trafić do jakiegoś domu dziecka lub zostać wywiezione do Niemiec.

Zdecydowała więc, że na czas pracy rodziców pozostawić mnie będzie pod opieką sąsiadki, pani Przykorskiej, która miała około trzyletnią córeczkę Dzidzię i maleńkiego synka, niemowlę. Miło mi było w tym domu i chętnie tam przebywałam. Także 1 sierpnia 1944 roku, tak jak zwykle, oczekiwałam na rodziców u pani Przykorskiej, ale wypadki potoczyły się inaczej.

W naszej dzielnicy powstanie wybuchło trzy godziny wcześniej, niż w pozostałych dzielnicach Warszawy. Już około godziny czternastej słysząc było odgłosy strzałów dochodzące od strony Placu Wilsona. Rodzice nie zdążyli wrócić do domu. Przeżyłam szok. Słyszałam z oddali strzelaninę, czułam ogromne zagrożenie. Przebywałam pod opieką troskliwych sąsiadów, ale bez mamy i taty.

Sytuacja stawała się niebezpieczna, a rodzice nie powrócili do domu nawet na noc. Byłam przerażona, zanosłam się od płaczu. Z rodziną sąsiadów musiałam zejść do piwnicy, w której panował tłok i atmosfera niepewności. Dla mnie najważniejszą sprawą było to, czy rodzice kiedyś przyjdą po mnie.

Wieczorem, czy też wczesnym rankiem, kiedy strzelanina uspokoiła się nieco, wróciliśmy na górę do mieszkania. Umęczona płaczem, zasnęłam. Obudził mnie głos taty „Jesteśmy córeczko, mama szykuje ci śniadanie”. Była godzina szósta rano. Jak najszybciej chciałam zobaczyć mamę.

Rodzice spotkali się u dziadków przy ulicy Kościelnej. Cudem przedostali się ze Starego Miasta, poprzez ostrzał dworca gdańskiego, na Plac Wilsona, ryzykując życiem, aby dotrzeć do swego dziecka.

Od tego wydarzenia nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Dla

bezpieczeństwa miałam na szyi woreczek, w którym mieściła się kartka z moimi personaliami.

Powstanie pamiętam, jako okres nieustannego lęku z powodu potwornych wybuchów, podczas których mama kazała mi otwierać usta, aby mi nie popękały w uszach bębenki. Podczas bombardowania w piwnicy unosił się ceglany pył, który nie pozwalał oddychać. Słysząc było wtedy odgłos zbiorowego kaszlu nie do opanowania i przerażający płacz dzieci. Wielu mieszkańców zwracało się o pomoc do Boga odmawiając głośno modlitwy i śpiewając religijne pieśni.

Kiedy tzw. krowa – ciężkie działo kolejowe – zburzyła część naszego domu, a pod gruzami zginęli sąsiedzi, przenieśliśmy się do pobliskiego Fortu Sokolnickiego. Była to budowla solidna o grubych murach wybudowana jeszcze za czasów carskich. Część tego obiektu zajmowało Archiwum Akt Dawnych, a część szpital powstańczy. Uzyskaliśmy zgodę na zajęcie pomieszczenia zastawionego drewnianymi skrzyniami, na których mieliśmy zorganizować sobie legowiska. Pomieszczenie było niewysokie o łukowatym sklepieniu, okienka małe na poziomie ziemi. Wcześniej już inni mieszkańcy dzielnicy koczowali w tych pomieszczeniach. Ciasno było i duszno. Niemcy ostro ostrzeliwali Fort wiedząc, że mieścił się tam szpital powstańczy. Ale mieliśmy nadzieję, że właśnie to miejsce pozwoli nam przeżyć ostrzał i bombardowania.

Podczas dnia rzadko można było wyjść na zewnątrz Fortu, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Wieczorem udawało się wyjść z fortu – także i moja mama ukradkiem ustawiała na dwóch ceglach garnek z kaszą, podpalała połamane gałęzie aż się utworzył żar, bo wtedy można było uciekać przed ostrzałem a kasza sama się dogotowywała. Pewnego dnia mama została ranna (niegroźnie) w nogę zabłąkanym odłamkiem. Brak warunków higienicznych spowodował, że rana nie goiła się, noga była obolała i spuchnięta. Tata czasami i mnie wyprowadzał na świeże powietrze, obserwo wałam w mroku świetliste pręgi dalekiego ostrzału. Pewnie to był już wrzesień, bardzo ciepło, liście jeszcze zielone, wieczory ciepłe.

Przed nami jeszcze wiele trudnych dni. Czas upływał, a nie było nadziei, nie wiedzieliśmy, co dalej z nami będzie. Dochodziły do nas sprzeczne komunikaty.

W nocy 30 września 1944 roku zapadła decyzja o kapitulacji powstania. Fort Sokolnickiego poddał się, wywieszono białą flagę.

Następnego dnia, o godzinie szóstej rano do Fortu wpadli roz-wścieczeni gestapowcy i rozkazali niezwłocznie opuścić ten obiekt w przeciągu 20 minut. Każdy w pośpiechu łapał przedmioty, nie zawsze najpotrzebniejsze. Rodzice zabrali ciepłe okrycia, metalowy kubek tzw. kwaterkę i oczywiście moje skórzane, nowe buty, bo przecież zima przed nami. Z drobiazgów wieszak do ubrania (jakby dzisiaj powiedziano „dwa w jednym”) – po złożeniu wieszak zamieniał się w szczotkę. Jest ze mną do dzisiaj – jedyny przedmiot z tamtych lat.

W atmosferze niesamowitego zgiełku, przerażenia, w pośpiechu, pod eskortą wrzeszczących Niemców w stalowych hełmach, z rozpylaczami skierowanymi do tłumu, formowaliśmy kolumnę. Niemcy pilnowali, aby ludzie się nie rozbiegali, nad naszymi głowami słychać było warkot samolotów.

Tego dnia, kiedy opuszczaliśmy Fort Sokolnickiego, a był to 1 października 1944 roku, panował niesamowity upał. Tata dźwigał nasze pakunki, mama nie mogła nadążyć, bowiem opuchnięta i obolała noga na to nie pozwalała. Szliśmy kolumną w nieznanym kierunku. Uwaga rodziców była skierowana na to, aby uratować życie, nie zgubić się w tłumie, nie utracić dobytku, a zwłaszcza moich zimowych, nowych butów. Na trasie zorientowaliśmy się, że udajemy się w kierunku cmentarza powązkowskiego. Jednak po drodze kolumna skierowana została do kościoła Św. Wojciecha przy ulicy Wolskiej. Weszliśmy do wewnątrz, na prawą stronę. Wszędzie tłumy udreńczonych, zgromadzonych do dalszej tułaczki, ludzi.

Nasza droga prowadziła na Dworzec Zachodni. Pamiętam jak podczas tego marszu wśród zbombardowanych i palących się domów, rodzice zakrywali mi oczy albo kazali patrzeć w inną stronę, abym oczami dziecka nie oglądała trupów i innych okropności.

A jednak do dziś pamiętam, w okolicy cmentarza powązkowskiego, leżący na trawie, pod drzewem, w cieniu, but z krótką cholewką i wystającą urwaną, krwawą nogę. Ten widok był dla mnie przerażający. Pamiętam także, jak na jednym z pogorzeliśk stał duży biały pies i przeraźliwie wył. Jego sylwetka oświetlona była przygasającą luną pożaru.

W atmosferze przerażenia i niepewności dotarliśmy pieszo do Dworca Zachodniego. Tam czekały na nas pociągi osobowe, którymi mieliśmy udać się w nieznane. Wsiadaliśmy do wagonu w zgiełku, popędzani przez uzbrojonych gestapowców. W pociągu mama zauważyła, że podczas tego zamieszania zgubiliśmy jeden mój nowy skórzany but. I tak od tej chwili zamiast uczucia wyjątkowego – jak na okupacyjne czasy – odczuliśmy trudne do zniesienia rozgoryczenie. Został nam but nowy, cały ze skóry, ale tylko jeden.

Pociąg zatrzymał się przed Pruszkowem, kazali nam szybko wysiadać i kierować się do bramy w długim murze od strony Piastowa. To był cel.

Wchodziliśmy do obozu przejściowego Dulag 121.

Zmaltretowany tłum ludzi młodych, starych, matek z dziećmi, wycieńczonych i chorych wtaczał się na teren obozu. Dotarliśmy do wielkiej hali, ogromne wrota były otwarte, przez wysokie okna przenikały ostre promienie słońca. Oczami przerażonego dziecka zobaczyłam nieprzebrany tłum ludzi koczujących na betonowej podłodze. Inni przemieszczali się, wywołując imiona, nazwiska i nazwy warszawskich dzielnic – w ten sposób próbowali znaleźć zagubionych bliskich.

Nie mieliśmy szans na miejsce na betonowej podłodze hali, musieliśmy ułożyć się na deskach ułożonych nad kanałami służącymi do napraw taboru kolejowego. Walka o miejsce była walką o przetrwanie, toteż ludzie nie chcieli oddalać się od swoich miejsc potrzeby fizjologiczne załatwiali do tych kanałów. Powodowało to trudny do zniesienia smród i widok, a także obsesyjną obawę, aby nie wypaść z naszego miejsca do śmierdzącego kanału.

Tylko dzięki ofiarnie pracującym w obozie pruszkowianom nie pozostaliśmy głodni. Pamiętam dobrze smak i zapach zupy z marchwi i brukwi oraz jakiś płyn do picia.

Dulag 121 był obozem przejściowym, nadeszła więc pora dalszej tułaczki.

Nie mogę sobie przypomnieć jak długo przebywaliśmy w obozie. Wiadomo, że przed wywiezieniem z obozu dokonywano selekcji, która polegała na oddzielaniu osób zdolnych do pracy (oczywiście na rzecz Niemiec) od starców, kalek i matek z małymi dziećmi, których dalszego losu wówczas nie umieliśmy przewidzieć. Podczas selekcji i my zostaliśmy rozdzieleni. Tata na prawo, mama, ja oraz nasi towarzysze niedoli – pani Irena z synkiem Tadzkiem – na lewo. Tata zniknął w tłumie ludzi zdolnych do pracy.

Mama z panią Ireną, Tadzkiem i ze mną usiadła na trawie i zaczęła bardzo płakać. W pewnym momencie zobaczyłam, że histerycznie się śmieje, zasłoniła twarz i dawała mi znaki, abym nie okazywała emocji. Ujrzałam zbliżającą się do nas postać taty, który mocno pochylony z okularami na czubku nosa, nieogolony, podpierał się kosturem udając starca. Okazało się, że sprytnie wydostał się z wyselekcjonowanej do pracy grupy i udając schorowanego staruszka dołączył do nas, niezdolnych do pracy. Byłyśmy bardzo szczęśliwe, że znowu jesteśmy razem.

Jeszcze nie wiedzieliśmy, że czeka nas długa, nieludzka podróż w nieznane.

Była piękna, upalna pogoda, rozpoczął się załadunek poszczególnych grup do otwartych wagonów towarowych tzw. węglarek, oczekujących na torach od strony Piastowa. Prawdopodobnie było to 3 października 44 roku. Tata próbował przekonać mamę, abyśmy wymknęli się z tego transportu, gdyż stację dalej, w Brwinowie, mieszkała nasza bliska rodzina. Mama nie zgodziła się na ten pomysł, mając na uwadze swój stan zdrowia i nieporadność ruchową z powodu mocno opuchniętej nogi.

I tak znaleźliśmy się w tłumie, który został wtłoczony do odkrytego wagonu towarowego. Wśród krzyków uzbrojonych żan-

darmów niemieckich, przerażenia naszych towarzyszy niedoli, za radą taty, ulokowaliśmy się w przedniej części wagonu, a właściwie w lewym jego rogu. Ja z Tadiem skuleni w samym rogu, rodzice z panią Ireną asekurowali nas przed naporem stłoczonych ludzi. Znów nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Kiedy mijaliśmy Brwinów, tata wyrzucił z wagonu kartkę z wiadomością dla rodziny, że przeżyliśmy Powstanie. Jechaliśmy bardzo długo. Atmosfera w wagonie była napięta, wybuchały kłótnie i nieporozumienia. Trudno określić jak wiele stłoczonych osób mogło pomieścić się w tym wagonie. Coraz trudniej przychodziło opanowanie napięcia, koszmarem stała się konieczność załatwiania potrzeb fizjologicznych. Zrobiło się chłodno, zapadał zmrok, zaczął padać deszcz. Podłoga stała się śliska a odór stawał się trudny do zniesienia. Wydaje mi się, że w czasie jazdy mężczyźni wyłamali deskę w podłodze i tak powstała prymitywna ubikacja.

Jechaliśmy dalej. W rogu wagonu ja z Tadiem – dwoje dzieci około siedmioletnich, przestraszonych i zmokniętych. Zostaliśmy przykryci jakąś derką, która początkowo wydawała nam się wybawieniem, ale z czasem tak mocno nasiąkła deszczem, że stała się nieznośnie ciężka, sztywna i zimna. Wreszcie pociąg zatrzymał się.

Miejscem docelowym był Jędrzejów w Generalnej Guberni.

Wyładunku z wagonów i sposobu w jaki dotarliśmy do młyna czy też spichlerza nie przypominam sobie, zachowałam tylko wrażenie, że dostaliśmy się do raju – sucho, cudowny zapach (czytaj: prawie chleba). Wszystko przyprószone było śnieżnobiałą mąką.

Niemcy ustalili, że do zakwaterowania ludzi z tego transportu zobowiązani zostali gospodarze z okolicznych wiosek. Oni to swymi wozami konnymi zabierali nas, wygnańców, do swoich domostw. Byli to ludzie wielkiego serca, serdeczni i wrażliwi na ludzką niedolę.

Mama, tata i ja zostaliśmy zabrani do wsi, której nazwy niestety nie znam. Mama do gospodarstwa młodego, bezdzietnego małżeństwa, ja byłam przypisana do samotnej, starszej kobiety mieszkającej naprzeciwko w drewnianym domu, tata niestety do gospo-

darza w sąsiedniej wsi. Gospodyni mamy natychmiast zgodziła się przyjąć do siebie także i mnie, aby nas nie rozdzielać. W domu naszej gospodyni było bardzo czysto. Podłoga wyszorowana do białości, łóżka drewniane ze stertą poduszek, czysta pościel. Serdecznie się nami zajęła. Pamiętam pierwszą od dnia wybuchu powstania, czyli od przeszło dwóch miesięcy kąpiel w balii, w gorącej wodzie. Dostałam czystą nocną koszulę sztywną od krochmalu o zapachu świeżego powietrza. Pierwszy raz w życiu spałam na sienniku wypełnionym słomą (cóż za zapach, ale trochę kłuło).

Mama od razu włączyła się w prace domowe, pomagała w gospodarstwie. Niestety zainfekowana rana i bardzo spuchnięta noga wymagała pilnej pomocy lekarskiej. Młody gospodarz z własnej inicjatywy woził mamę wozem konnym do miasta do lekarza. Gospodyni także opiekowała się nami bardzo troskliwie.

Była już późna jesień, zbliżała się zima, spadł pierwszy śnieg. Nie mieliśmy zimowego ubrania ani odpowiednich butów. Ciągłe miałam przemoczone nogi. Z rozgoryczeniem oglądaliśmy mój jeden porządny zimowy but. „Och, gdyby był drugi to byś nie marzła” – mawiała mama. Czasami odwiedzał nas tata, przychodził pieszo z sąsiedniej wsi. Opowiadał, że pomaga swemu gospodarzowi rąbać drzewo na opał na okres zimowy.

Niestety, stan mamy nogi pogarszał się. Lekarz zalecił natychmiastowe zgłoszenie się do szpitala, aby ratować nogę przed amputacją. Rodzice postanowili dostać się do Krakowa. Tam mieszkała z matką nasza kuzynka, wówczas niespełna dwudziestoletnia dziewczyna. Pracowała w szpitalu i знаła trochę język niemiecki. Były to okoliczności dla nas niezwykle cenne. Dotarliśmy do Krakowa i zatrzymaliśmy się w mieszkaniu naszych kuzynek.

Sytuacja była krytyczna, lekarze nie dawali gwarancji, że nogę uda się uratować.

Mama nie chciała rozstać się ze mną. Wkrótce znalazłam się z mamą na jednym szpitalnym łóżku. Atutem stała się moja dole-

gliwość. Miałam wrzody na nogach z niedożywienia i brudu. Właśnie dlatego mogłam przebywać z mamą w szpitalu, wprowadzie na jednym łóżku, ale razem. Mieliśmy wiele szczęścia, gdyż czuwała nad nami nasza kuzynka, a dzięki niej także siostry szarytki, które dały schronienie tacie.

Tata całą okupację pracował w Warszawie na fałszywych dokumentach. Obecnie, w Generalnej Guberni, znalazł się znowu w niebezpieczeństwie. Był wycieńczony i słaby, więc siostry szarytki znalazły dla niego schronienie w szpitalnej izolatce, zaznaczając, aby zachowywał się jak ciężko chory. Los sprawił, że przebywaliśmy na tym samym piętrze i widywaliśmy się często.

Stan mamy nadal był poważny. Rana na nodze nie goiła się. Nasza kuzynka, która pracowała na innym oddziale, pomagała nam jak mogła. Sobie tylko znanymi sposobami zdobywała rywanol w litrowych, ciemnych butelkach. Siostry szarytki, bez zdejmowania opatrunków, nogę mamy oraz moje owrzodzenia często polewały rywanolem. Były to zabiegi bardzo skuteczne, gdyż widziałam jak pod odchylonym opatrunkiem najpierw tworzyły się jakby ziarenka, a potem siateczka nowej tkanki – rany zaczynały się goić. Trochę mi było niewygodnie leżeć z mamą na jednym szpitalnym łóżku, ale dzięki temu na bieżąco obserwowałam jak niebezpieczeństwo amputacji nogi oddala się. Odczuwałam narastające uczucie szczęścia.

Kiedy moje dolegliwości stały się mniej dokuczliwe, a tata nie miał już cierpliwości tkwić w izolatce, postanowił pokazać mi Wawel (oczywiście tylko z zewnątrz). Obejrzałam Wawel, ale ze swastyką na powiewającej fladze. Atmosfera okupacji powróciła – bałam się.

Mój tata był człowiekiem odważnym, dobrym i pogodnego usposobienia.

W szpitalu przeżyliśmy z mamą wiele niepokoju, kiedy pewnego ranka okazało się, że taty w izolatce nie ma. Nie było go wiele godzin, nie wiedziałyśmy, co się stało, tym bardziej że siostry szarytki także nie miały o nim żadnych wiadomości. W porze obiadowej zjawił się w szpitalu z workiem kaszy. Okazało się, że znie-

cierpliwiony długim ukrywaniem się w szpitalu i związaną z tym beczynnością postanowił działać. Wybrał się „skoro świt” z zamiarem zarobienia paru groszy w ten rejon Krakowa, gdzie okoliczni gospodarze przyjeżdżali na targowisko. Było jeszcze ciemno, konie człapały ciągnąc wozy, jeden za drugim.

W Generalnej Guberni okupant siał terror na każdym kroku. I tutaj okazało się, że pojawiły się budy niemieckie. Oczywiście było, że będą kontrole dokumentów, konfiskaty niedozwolonych towarów i aresztowania. Sytuacja dla mojego taty stała się niebezpieczna. Nie miał żadnych dokumentów. W Krakowie nie mógł ujawniać, że jest warszawiakiem deportowanym z Dulagu. Zauważył, że na jednym z wozów nie ma nikogo. Koń człapał sam, jego gospodarz przesiadł się do swojego sąsiada. Tata niewiele myśląc wskoczył na wóz, złapał lejce i udając woźnicę przejechał, cudem przez Niemców niekontrolowany. Właściciel tego wozu widział, że obcy człowiek jedzie jego wozem. Zorientował się w sytuacji, pomógł mojemu tacie przeczekać łapankę, a kiedy dowiedział się, że jest wygnańcem z Warszawy, obdarował go workiem kaszy. Tata tę kaszę przeznaczył na potrzeby szpitala, a siostry szarytki darowały mu winę za tę nielegalną wyprawę. Oczywiście nie byłam świadkiem opisanego zdarzenia – opowiedzieli mi tę szczęśliwą historię rodzice. Ja tylko bardzo się bałam, że tata już nigdy nie wróci.

Pocieszające stały się opinie lekarzy, że noga mamy zaczyna się goić, moje wrzody zabiłszy się, zbliżał się czas opuszczenia szpitala.

Byliśmy bezdomni i bez środków do życia.

Rodzice zdecydowali, że jedziemy do Brwinowa koło Warszawy, gdzie w domu dziadków mieszkał brat taty ze swoją rodziną. Pamiętam, że leżał już śnieg, kiedy tam przyjechaliśmy. Byliśmy schorowanymi nędzaczami, ja na dodatek odmroziłam sobie zaleczone w szpitalu nogi. Nie miałam przecież zimowych butów, a mama z wdzięcznością przyjęła podarowane dla mnie kalosze, które miały mnie chronić przed przemoczeniem nóg. I znowu oglądaliśmy ten jeden but jeszcze odpowiedniego rozmiaru. „A gdyby tak oddać do szewca, żeby dorobił drugi” – fantazjowała

mama. But-bohater przeszedł z nami całą tułaczkę i nikt nie miał sumienia rozstać się z nim.

Kartka, którą tata wyrzucił w Brwinowie z pociągu, dotarła do naszej rodziny. Wiedzieli, że przeżyliśmy powstanie i obóz w Pruszkowie. Udostępnili nam jeden pokój. Boże Narodzenie spędziliśmy wśród swoich.

W styczniu 1945 roku ofensywa radziecka zbliżała się do Warszawy, 16 stycznia dotarli do Brwinowa. Zobaczyłam dziwne zamieszanie w naszym domu. Okazało się, że Rosjanie wybrali nasz dom na swoją kwaterę, rozkazali oddać do ich dyspozycji największy pokój. Byli to żołnierze, młodzi chłopcy oraz ich dowódca. Na zewnątrz, w ogrodzie, ustawili kuchnię polową, w której gotowali krupnik na mięsie na swoją kolację. Po zjedzeniu posiłku poukładali się do snu pokotem, na podłodze.

Następnego dnia rano, a był to 17 stycznia 1945 roku okazało się, że żołnierzy już nie ma, o czwartej rano wyruszyli w kierunku Warszawy. Resztki krupniku wylane na śnieg wydziobywały wróble i chmary czarnych wron.

Wkroczenie armii radzieckiej do Warszawy, a właściwie do tragicznego bezmiaru ruin, oznaczało dla nas otwarcie drogi do opuszczonego domu. „Może się coś uratowało” – miała nadzieję mama – „przecież nie mamy nic”.

Jeszcze w styczniu, a zima nie odpuszczała, tata wybrał się wczesnym rankiem do Warszawy. Nie było go do ciemnej nocy. Zjawił się zmęczony i przemarznięty. Dotarł do naszego dawnego domu przy ulicy Krasińskiego 6. Zastał tam tylko zwały gruzu. Dowiedział się, że Niemcy wykonując rozkaz zrównania z ziemią zbuntowanej przeciwko okupantowi stolicy, nasz dom także wysadzili w powietrze. Napotkani na miejscu dawni mieszkańcy opowiedzieli, że jeszcze w grudniu 44 roku ten dom stał nienaruszony. Niektórzy mieszkańcy (i nie tylko) zdążyli nieco rzeczy stamtąd wywieźć. My niestety nie uratowaliśmy niczego.

Na ruinach spalonych, a potem zdruzgotanych domów, poniewierały się tylko rzeczy nikomu niepotrzebne. Tata powrócił do

domu w Brwinowie przygodnym wozem konnym, przywiózł dwie poduszki i kołdrę zamrożoną na deskę. Ponieważ nie mieliśmy pościeli, mogło i to stać się dla naszej rodziny przydatne. Mama ulokowała te „łupy” na strychu w nadziei, że szybko wyschną. Niestety, nie nadawały się do użytku ze względu na przykry zapach. Tata przypuszczał, że kołdrą mogło być wcześniej przykryte ciało ofiary powstania.

Kołdra i poduszki zostały spalone w ognisku.

Nasza zima 1945 roku to wolność, niepewność i bieda. W Brwinowie znalazło się wiele osób w podobnej do naszej sytuacji – rodziny z dziećmi bez środków do życia. W ramach pomocy miejscowe rodziny zorganizowały dożywianie dzieci. Jako dziecko korzystałam czas jakiś z takiej pomocy. Tata zaznaczył, że tylko do czasu, kiedy nie podejmie pracy zarobkowej. Dostawałam obiady, bardzo smaczne, od rodziny państwa Wiencków. Chodziłam z naczyniami po zupę i drugie danie i właśnie dzięki tej rodzinie łatwiej przetrwałam.

Pewnego dnia, gdy wracałam z pachnącym obiadem, potknęłam się i wylałam zupę na chodnik. Była to zupa szczawiowa z jajkiem, ziemniaki okraszone były zrumienioną bułeczką. Płakałam, ale tata zabronił mi tego dnia pójść po obiad raz jeszcze.

Zbliżało się lato, a wciąż nie wiedzieliśmy co stało się z naszą warszawską rodziną ze strony mamy. W Warszawie miałam ukochanych dziadków, ciocię, wujka i ich córeczkę Joasię. Wszyscy mieszkali na Starym Mieście. Nie wiedzieliśmy czy przeżyli powstanie. Pierwszy kontakt rodzice nawiązali z wujkiem, od niego dowiedzieli się, że dziadkowie żyją i przebywają na wsi koło Siedlec. Mama natychmiast podjęła decyzję, aby tam pojechać. Wzruszające to było spotkanie, ale niepozbawione tragicznej wiadomości. Malutka Joasia, pomimo wysiłków wszystkich bliskich, nie przeżyła powstania – umarła z głodu. Dla tak małego dziecka nie było odpowiedniego pożywienia, pomimo że dziadek z narażeniem życia wyprawiał się pod kulami po kozie mleko dla małej wnuczki. Opłakiwaliśmy to dziecko, niewinną ofiarę powstania.

Nadal nie wiedzieliśmy, co stało się z ciocią – siostrą mamy – Ireną.

Po kapitulacji Starego Miasta, już na początku września 44 roku, wygnani mieszkańcy znaleźli się w obozie Dulag 121 w Pruszkowie i tak jak wszyscy podlegali selekcji. Właśnie tam dziadkowie i ciocia Irena – ich córka – zostali rozdzieleni, tam widzieli się po raz ostatni. Poszukiwania cioci rozpoczął jej mąż wszystkimi dostępnymi sposobami, także poprzez Polski Czerwony Krzyż. Komunikaty o poszukiwaniu rodzin przekazywało systematycznie Polskie Radio. Polacy, rozproszeni po zakończeniu wojny także poza granicami kraju, z uwagą śledzili te wiadomości.

Pewnego dnia, a było to w Szwecji, w sanatorium w mieście Halmstad, pewna młoda osoba, w wielkim podnieceniu, wpadła do sąsiedniej sali z okrzykiem: „Irenko, mąż ciebie poszukuje”. Irenką była właśnie zaginiona siostra mojej mamy. W Szwecji znalazła się przewieziona przez Szwedzki Czerwony Krzyż podczas ewakuacji obozu w Rawensbrück. Natychmiast nawiązała kontakt z Biurem Poszukiwania Rodzin i w krótkim czasie wiedzieliśmy, że przeżyła koszmar tułaczki. Zaczęła się korespondencja, nasiliła się tęsknota za rodziną, za krajem, prośby o przesyłanie w kopercie ziemi polskiej także dla koleżanek. Stan zdrowia nie pozwalał jednak na szybki powrót do kraju. Mogliśmy ją powitać dopiero w zimie 1946 roku. Była moją chrzestną matką i ukochaną ciocią, przywiozła mi w prezencie szwedzką regionalną kamizelkę i okrągłą czapeczkę, nawet dzisiaj odczuwam wzruszenie. Rodzina cudem przeżyła i odnalazła się. Teraz trzeba było poukładać nasze nowe ocalone życie.

Tata, przed wojną związany z lotnictwem, w poszukiwaniu pracy, skierował się oczywiście na lotnisko Okęcie. Otrzymał zatrudnienie w sekcji naziemnej. Kiedy zjawił się w domu w granatowym mundurze ze złotymi szamerowaniami wyglądał pięknie i był wyraźnie uradowany – lubił mundury! Praca taty na Okęciu dawała oprócz środków utrzymania także resortowe przywileje – rodzinne bilety na samoloty krajowe. Podróżowaliśmy więc samolotem do naszych odnalezionych bliskich, którzy osiedlili się na Śląsku. Lądowaliśmy

wtedy na lotnisku w Gliwicach. Na liniach krajowych latały samoloty Dakota. Niekomfortowe to były podróże. Odczuwałam lęk, kiedy ta trzęsąca się maszyna przepadała w dół, a potem z trudem i warkotem wznosiła się do góry. Za protekcją taty byłam nawet w kokpicie, bo piloci to byli jego dawni koledzy. Zdarzyło się, że kiedyś leciałam ze swoim ulubionym kotem, który został nazwany przez pilotów pasażerem na gapę.

Następne lata powojenne obfitowały w innego rodzaju wydarzenia. Uczucie tęsknoty za dawnym domem nie opuszczało moich rodziców; „może jeszcze uda nam się wrócić” – marzyli. Ale trzeba było zaakceptować nowe życie, w innym miejscu, w innych warunkach. Trzeba było pokonać marzenia.

Pojawiły się nowe problemy. Z racji powiązań taty ze środowiskiem przedwojennego lotnictwa i faktem, że po 1 września 1939 roku nie wyemigrował za granicę tylko pozostał w kraju, wydawał się ówczesnym władzom podejrzany. Przesłuchaniom w pałacu Mostowskich nie było końca.

W grudniu 1954 roku przeżyliśmy z mamą tragedię. Po dwuletniej ciężkiej chorobie tata zmarł.

Zostałyśmy same, bez środków do życia. Moja dzielna mama rozpoczęła poszukiwanie pracy. Podjęła ją już w lutym 1955 roku, w resorcie transportu. Miałyśmy zapewnione skromne środki na utrzymanie, a dodatkowo służbowe bilety, tym razem na kolej. Mogłyśmy częściej widywać się z naszą rodziną, która nadal mieszkała na Śląsku, w swoim przekonaniu – tymczasowo. Dziadek do końca życia przechowywał klucze od swojego warszawskiego mieszkania jako drogocenną pamiątkę.

Nasza egzystencja opierała się teraz na pracy mamy, bardzo oszczędnym gospodarowaniu i pomysłach jak z pozornie nieprzydatnych rzeczy wykonać coś nowego, praktycznego, co nic nie będzie kosztowało. Wszystko musiało być rozsądnie zagospodarowane. But-bohater został подарowany szewcowi, aby sobie powycinał co lepsze kawałki skóry, bo i tak już był za mały. Z takich „osiągnięć” było wiele radości i pożytku. Pomimo skromnych wa-

runków materialnych nigdy nie odczuwałam żadnych kompleksów. Punktem odniesienia zawsze była tragedia Powstania Warszawskiego, pobyt w obozie w Pruszkowie oraz tułaczka, z czego wyszliśmy żywi. „Reszta nic to” – jak mawiał tata.

W moim życiu dalsza nauka, pierwsza praca, założenie własnej rodziny związane zostały z Pruszkowem. Tutaj zamieszkałam na stałe, tutaj pozyskałam przyjaciół, tutaj czuję się zawsze dobrze. Cieszy mnie, kiedy widzę, że miasto się rozwija, obchodzą mnie jego kłopoty i cieszą sukcesy.

Przekorny los sprawił, że właśnie Pruszków okazał się moją drugą, małą ojczyzną na całe, jak dotąd, dorosłe życie.



Jerzy Kaleta
członek PTKN

Szymon Kucharski
członek Zarządu PTKN

CICHY BOHATER WRZEŚNIA 1939 ROKU



Saper podchorąży Henryk Kaleta na początku nauki w Szkole Podchorążych Rezerwy w Modlinie. Na kołnierzu, oprócz wężyków, widoczne emblematy tejże Szkoły. Zdjęcie wykonano 16 listopada 1934 r.

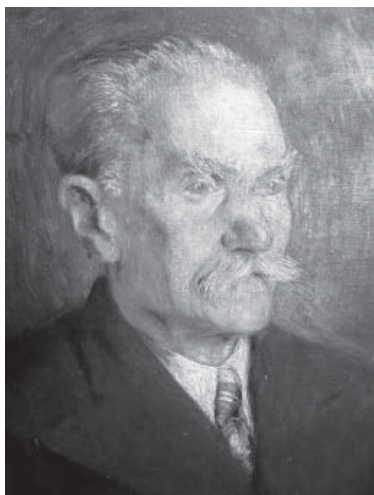
Henryk Julian Kaleta był czwartym synem znanej w Pruszkowie rodziny Karola i Rozalii Kaletów. Urodził się 22 maja 1913 r. w drewnianym domu rodzinnym przy ul. Klonowej 23 – (obecnie I. Daszyńskiego). Domu tego już nie ma; został rozebrany w drugiej połowie XX wieku – zbudowany był w początku lat osiemdziesiątych XIX wieku.

Henryk uczęszczał do Szkoły Powszechnej im. T. Kościuszki. W związku z tym, że ojciec jego był kolejarzem, kierownictwo szkoły starało się, by mały Henryk został przeniesiony do szkoły dla dzieci kolejarzy (szkoła im. T. Kościuszki miała duże trudności lokalowe). Kierownictwo szkoły wmawiało rodzicom Henryka, że syn jest niezdolny i powinien uczęszczać do innej placówki. Henryk musiał biegać do szkoły kolejowej aż na Papiernię. Dla małego chłopca, zwłaszcza w okresie jesienno-zimowym droga wynosząca około 3 km była wielkim utrudnieniem.

W nowej szkole chłopiec czuł się bardzo dobrze – jego rodzice mieli satysfakcję, okazało się, że ma on duże zdolności. Kilka lat później ukończył z wyróżnieniem warszawskie Technikum Kolejowe i podjął pracę na magistrali węglowej Śląsk-Gdynia, na stacji kolejowej Herby Nowe. Powołany do wojska, ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Saperów w Modlinie i po odbyciu kolejnych ćwiczeń rezerwy z pozytywnym wynikiem, promowany został na podporucznika saperów, ze starszeństwem z 1 stycznia 1937 r.



Rzeźba (odlew gipsowy) – portret Heleny Sędzimirówny, zwanej Danusią, córki Aleksandra, właściciela restauracji „Pod Słońcem” (róg ulic: H. Sienkiewicza i Ołówkowej), późniejszej żony Stanisława Kozłowskiego. Jako dwunasta z rodzeństwa, liczącego sześciu braci i sześć siostr, zwana była też „Tuzinką”.



Obraz olejny – portret ojca, Karola Kalety (1871-1940).

Jeden z trzech zachowanych, fantastycznych pejzaży olejnych.



Henryk był wszechstronnie uzdolniony. Malował olejne pejzaże i portrety, rzeźbił w glinie popiersia znanych osobistości i miał twórczą wyobraźnię w kształtowaniu różnych obiektów. Jego dzie-

łem, które możemy oglądać w Pruszkowie, jest duży betonowy wazon w formie kielicha, stojący w parku „Sokoła”, przed głównym wejściem do pałacu (Henryk był czynnym członkiem pruszkowskiego Gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”).



Jedynie dzieło H. Kalety, umieszczone w przestrzeni publicznej naszego miasta – ozdobny betonowy kwiatnik, stojący przed pałacem „Sokoła”.

Do 1939 r., wystawę sklepową na rogu ulic: Owocowej i T. Kościuszki zdobiło popiersie Marszałka Piłsudskiego jego autorstwa. W zbiorach rodziny Kaletów zachowała się jeszcze jedna rzeźba portretowa oraz cztery obrazy – jeden portret i trzy pejzaże.

Gdy wybuchła II wojna światowa, Henryk Kaleta został zmobilizowany. Nie posiadamy żadnych informacji, do jakiej konkretnie jednostki został skierowany. Centralne Archiwum Wojskowe w Rembertowie, w którym mogą być przechowywane jego przedwojenne akta personalne (o ile się zachowały) jest obecnie



H. Kaleta podczas pracy twórczej – powstaje portret Stanisława Węglińskiego, naczelnika pruszkowskiego gniazda TG „Sokół”

zamknięte z powodu przebudowy. Możemy jedynie przypuszczać, że jako podporucznik objął dowództwo plutonu saperów. Najprawdopodobniej, w toku kampanii, dołączył do zgrupowania ppłk. Edwarda Wani. Był to improwizowany oddział, formowany w połowie września w Garwolinie i okolicach, głównie z napływających tam rezerwistów kawalerii. Grupa ta, w składzie Frontu Północnego, wycofywała się na wschód. Pewne przesłanki wskazują, że pluton ppor. Kalety osłaniał tyły tejże Grupy podczas jej marszu szosą Lublin-Chełm i przeprawy przez Wieprz, w rejonie wsi Dorohucza. Czas pozwolił na wykonanie tam fortyfikacji polowych, które okazały się ostatnią rubieżą obronną dla ppor. Kalety i jego żołnierzy. Pod Dorohuczę 18 września podeszli Niemcy – były to najprawdopodobniej oddziały 4. Dywizji Piechoty. Polska pozycja obronna była dla nich bardzo niewygodna. Okoliczne tereny były podmokłe, co uniemożliwiało Niemcom dalszą drogę.

Mały oddział wojskowy Polaków pod dowództwem ppor. Kalety wykorzystał swoją doskonałą pozycję obronną. Posiadając



Fragment przedwojennej mapy topograficznej z lokalizacją ostatniej pozycji obronnej plutonu ppor. H. Kalety.

tylko jedno działko przeciwpancerne (notabene, wyprodukowane w fabryce „Mechaników” w Pruszkowie) i trzy ciężkie karabiny maszynowe, uniemożliwił przejazd szosą jakiegokolwiek pojazdu mechanicznego. Niemcy nie mogli przedostać się w stronę Chełma szosą, gdyż wpadali pod morderczy ogień Polaków. Z tego też powodu ponieśli bardzo duże straty w ludziach i sprzęcie.

Niemcy wielokrotnie wzywali Polaków przez megafony, by poddali się, bo ich szanse obrony są znikome przy wielokrotnie przeważających liczebnością i uzbrojeniem oddziałach niemieckich. Oni jednak postanowili bronić się do „ostatniego naboju”. Rzeczywiście, mały oddział ppor. Kalety wywiesił białą flagę dopiero wtedy, gdy nie miał już amunicji.

Niemcy byli rozwścieczeni, ale i zdziwieni, że taka mała garstka polskich żołnierzy tak długo i zaciekle broniła się. Po walce, z kilkudziesięciu żołnierzy ppor. Kalety, przy życiu pozostało zaledwie dwunastu, łącznie ze swym dowódcą. Tych bohaterów Niemcy bezpardonowo rozstrzelali pod chłopską stodołą w Do-

rohuczy. Zwycięzcy nie pamiętali, że obowiązuje ich Konwencja Genewska o jeńcach wojennych. A przecież Polacy bili się z nieprzyjacielem jak przystało na prawdziwych żołnierzy – powinni być potraktowani jako jeńcy wojenni, zgodnie z obowiązującym prawem międzynarodowym. Niestety, wściekłość dowództwa niemieckiego wzięła górę nad żołnierskim honorem. Tę garstkę polskich żołnierzy potraktowali jak zwykłych bandytów, którzy nie dość, że niepotrzebnie opóźnili marsz zwycięskiej armii niemieckiej na wschód, to jeszcze zadali jej duże straty.

Pułkownik, dowodzący niemiecką grupą operacyjną, kazał miejscowej ludności pogrzebać rozstrzelanych polskich żołnierzy. Nawet nie zatroszczył się o tych Polaków, którzy polegli wcześniej na swej reducie obronnej i tam zostali.

Tak zginął z honorem ppor. Henryk Kaleta i jego podwładni, broniąc skrawka swojej Ojczyzny do ostatniego naboju. Bili się honorowo jak przystało na polskiego żołnierza. Niemcy nie uszanowali polskiego munduru.

Przed śmiercią Henryk Kaleta poprosił miejscowych ludzi, by dali znać jego rodzinie w Pruszkowie, jak zginął i gdzie jest pochowany. Prosił też, by wszystkich jego poległych żołnierzy, tych rozstrzelanych i tych z reducy, pochować godnie na miejscowym cmentarzu we wspólnej mogile.

Wiadomość o losach ppor. Kalety dotarła do rodziny jeszcze w czasie wojny. Do Dorohuczy pojechał najmłodszy brat Henryka – Karol. Zorganizował ekshumację zbiorowej mogiły, rozpoznał zwłoki swego brata i pochował go w osobnym grobie. Gdy pojechał tam ponownie, wiele lat po wojnie, grobu polskich żołnierzy już nie było. Uznał, że upływ czasu wyrównał ziemny kopczyk na niepielegnowanym grobie. W jego miejscu wyrósł potężny dąb, który do dziś wskazuje, że tu byli pochowani polscy żołnierze, którzy oddali swe życie w obronie Ojczyzny.

Zwłoki obrońców Dorohuczy zostały prawdopodobnie ponownie ekshumowane i przeniesione na chełmski cmentarz wojenny przy ul. J. Młodowskiej. Spoczywa tam m. in. 29 nieznanych żoł-

nierzy z grupy ppłk. Wani, poległych właśnie 18 września pod Dorohuczą. Możemy więc przypuszczać, że to chełmski cmentarz jest ostatecznym miejscem spoczynku rozstrzelanego plutonu ppor. Kalety.

Niech powyższy epizod będzie zaprzeczeniem tego, jakoby polscy żołnierze, walczący wtedy z niemieckim najeźdźcą uciekali ze swych stanowisk obronnych, jak tchórze.

Na marmurowej tablicy, wiszącej we wnętrzu kościoła parafialnego Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny na Żbikowie, wśród wyrytych nazwisk pruszkowiaków, poległych w Wojnie Obronnej Polski w 1939 r., widnieje też imię i nazwisko ppor. Henryka Kalety. Jego symboliczny grób znajduje się na pruszkowskim cmentarzu parafii św. Kazimierza w grobowcu rodzinnym Kaletów.



Grób rodziny Kaletów z umieszczonym nań symbolicznie nazwiskiem ppor. Henryka Kalety (z błędną datą urodzenia).

Beata Pawełczyńska
Wiceprezes PTKN
Komendant Hufca ZHP

Współpraca ZHP z różnymi grupami społecznymi oraz innymi organizacjami i jednostkami

Na morzach południowych miliony maleńkich owadów zbierają się, aby pracować wspólnie i stopniowo budować rafy koralowe dopóki nie powstanie z nich jedna, wielka wyspa. Ten przykład pokazuje, czego może dokonać grupa wielu ludzi, którzy połączą się we wspólnym wysiłku – tak jak próbują to robić skauci poprzez zachowywanie przyjaznej postawy i okazywanie dobrej woli jeden wobec drugiego...

Robert Baden-Powell

ZHP a potrzeby społeczne

ZHP jest organizacją pożytku publicznego. Jest partnerem rodziny i szkoły w wychowywaniu dzieci i młodzieży. Spośród innych ruchów społecznych ZHP wyróżnia praca według metody harcerskiej i ponadczasowe wartości. Harcerstwo to obok szkoły bardzo ważna instytucja dydaktyczno-wychowawcza. Jej system różni się jednak znacząco od typowych systemów szkolnych. Jest to jednak organizacja funkcjonująca poza obowiązkowym proce-

sem nauczania. Podstawowa zasada „przez zabawę do nauki” jest mottem każdego drużynowego. Należy jednak pamiętać, że każde posunięcie i działanie harcerskie niesie za sobą cel kształcący i wychowawczy.

Działania programowe podejmowane przez drużynowego w celu wychowania młodego człowieka zgodnie z priorytetami wychowawczymi zawartymi w Podstawach Wychowawczych ZHP powinny służyć kształtowaniu takich cech jak:

- patriotyzm,
- świadomość obywatelska,
- odpowiedzialność,
- aktywność we wspólnocie,
- otwartość i radość,
- gotowość na zmiany,
- dzielność i zaradność,
- dbałość o zdrowie.
- prawość i uczciwość oraz życie w zgodzie z zasadami wynikającymi z wartości uniwersalnych, społecznych, Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego i wyznawanej religii,

Główną rolę w procesie tego wychowania odgrywa umiejętne stosowanie metody harcerskiej.

Często w swojej pracy harcerskiej zadajemy sobie pytanie – jak budować program wychowawczy, aby wyjść naprzeciw społecznym potrzebom, oczekiwaniom rodziców, nauczycieli, instytucji, wobec których ZHP pełni ogromnie ważną rolę wspierającą w misji wychowywania młodego pokolenia i tworzenia społeczeństwa obywatelskiego.

Hufiec ZHP Pruszków i współpraca z lokalnymi jednostkami i organizacjami

Na terenie wielu miast w Powiecie Pruszkowskim działa Hufiec ZHP Pruszków. Jako organizacja pozarządowa o statusie organizacji pożytku publicznego. Realizujemy swój program działania w oparciu o społeczeństwo obywatelskie otwarte na wszystkie grupy społeczne. Na przestrzeni ostatnich kilku lat podejmowaliśmy wiele inicjatyw we współpracy z jednostkami samorządowymi i organizacjami społecznymi. Mają one charakter:

Pomocowy np. nasza tradycyjna już akcja charytatywna „Zostań św Mikołajem” podczas której naszymi partnerami są Urząd miasta Pruszków, MOPS i stowarzyszenie 5+, czy akcja pomocy powodziąnom w 2011r.

Spółeczny np. udział i organizacja rodzinnych pikników i tradycyjnego pikniku partnerstwa Osiedla na Jasnej. Przeprowadzenie w roku 2011 programu przy współpracy w MOPS ”Bezpieczniej ku dorosłości”, który był skierowany do dzieci nie zrzeszonych zaproszonych na obóz harcerski.

Patriotyczny np. udział u świętach państwowych i współorganizacja obchodów tych świąt w kilku miastach Powiatu Pruszkowskiego. Organizacja przy współpracy ŚZZAK corocznego Rajdu Szlakiem Naszej Historii na terenie Pruszkowa, w którym corocznie bierze udział ok. 1000 uczniów szkół pruszkowskich.

Kulturowy np. współpraca z Pruszkowskim Towarzystwem Kulturalno-Naukowym przy organizacji wystaw, odczytów i prelekcji. Udział przedstawicieli hufca przy tworzeniu muzeum Dulag 121. Coroczna akcja przekazywania mieszkańcom Betlejemskiego Świątła Pokoju.

W chwili obecnej Hufiec Pruszków wraz z Pruszkowskim Towarzystwem Kulturalno-Naukowym realizuje szeroki program społeczny „Żeby młodość wiedziała a starość mogła” Jest to projekt, który powstał na bazie potrzeb opisanych w celach Europejskiego Roku Aktywności Seniorów i Integracji Międzypokoleniowej.

Praca przy realizacji tego zadania to okazja do tego, by uświadomić sobie, że w Europie żyjemy i cieszymy się dobrym zdrowiem dłużej niż kiedykolwiek wcześniej oraz bliżej przyjrzeć się możliwościom, jakie z tego wynikają.

Dla pokolenia wyżu demograficznego i pokoleń wkraczających w wiek dojrzały aktywne starzenie się oznacza:

- możliwość przedłużenia aktywności zawodowej i dzielenia się swoim doświadczeniem,
- przedłużenie aktywnego udziału w życiu społecznym,
- więcej czasu na to, by cieszyć się dobrym zdrowiem
- możliwość realizacji swoich marzeń.

Ostatnie miesiące w Pruszkowskim Towarzystwie Kulturalno-Naukowym

Ostatnio bardzo często bywa u nas prof. Marian Marek Drozdowski. Słuchacze lubią jego wykłady – są ciekawe, wygłaszane piękną polszczyzną, językiem zrozumiałym dla wszystkich. Pamiętam moich nauczycieli, a wśród nich prof. dr Rafała Taubenschlaga, który powtarzał, że „wykład ma być tak wygłoszony, by nawet najgłupszy go rozumiał”. Wykładał na wielu uniwersytetach, nie tylko w Polsce.

Wracam do wykładów prof. Drozdowskiego. Słuchaliśmy o twórcach Centralnego Okręgu Przemysłowego, o przemianach na Śląsku, o cechach narodowych Polaków w opinii polskich mężów stanu

Odbywają się u nas także wieczory poetyckie. Na jednym z nich przypomnieliśmy twórczość Zbigniewa Jerzyny. Wspominali go przyjaciele, poeci – Andrzej Zaniewski i Sławomir Łubieński, wiersze czytał Ryszard Bacciarelli, podczas następnego spotkania usłyszeliśmy poezję Sławka Łubieńskiego w wykonaniu Stanisława Sparażyńskiego. Pan Sparażyński przygotował dla nas piękny program „Artyści kabaretu okresu międzywojennego”. Aktorów takich, jak Hanke Ordonówną, Zofię Terne, Zulę Pogorzelską, Mirę Ziemińską, Bodo, Dymśkę, Krukowskiego i innych zapowiadał pan Stanisław słowami Jaroszego, legendarnego konferansjera.

Wśród wykładowców nie zabrakło pruszkowiaków. Komentant Hufca dh Beata Pawełczyńska opowiedziała o twórcach skautingu w Polsce – Oldze i Andrzeju Małkowskich. Film o nich przygotowali harcerze ze Szczepu Harcerskich Drużyn Sokolich.

W spotkaniu „Uśmiechnij się” pan Tadeusz Jakubowski opowiadał w barwnych słowach o swoim życiu – udowodnił, że nawet o tragicznych wydarzeniach można opowiadać dowcipnie – można się z tych wydarzeń śmiać. Tych, których nie przekonałam, wysyłam do książek kolegi. Pan Szymon Kucharski poprowadził nas po polskich pamiątkach znajdujących się na terenach dzisiejszej Białorusi. Poznaliśmy życie naszej sławnej uczonej Marii Skłodowskiej-Curie, (wykład pani Wiesławy Dłubak Bełdyckiej) czy tajemnice pałacyku Szustra. Kustosze Muzeum Niepodległości, pan Michał Rybak, przedstawił nam znaczenie Kamieńca Podolskiego dla chrześcijańskiej Europy.

Tradycyjne „jajeczko” zorganizowaliśmy, jak zwykle, ze Światowym Związkiem Żołnierzy AK. W naszym święcie wzięli udział Przedstawiciele władz Powiatu i Miasta na czele ze Starostą panią Elżbietą Smolińską i prezydentem panem Andrzejem Kurzełą. Ksiądz Maciej Smoliński w imieniu księdza proboszcza złożył obecnym życzenia. Zaproszeni artyści, państwo Elżbieta Marciniak i Andrzej Kuczakiewiczowie i ich wnuczka Karolina przygotowali piękny wielkanocny program. Były to piosenki i wiersze znanych poetów. Po prezentacji wielkanocnego programu nasi goście wykonali inne utwory; zauroczył nas występ ich wnuczki Karoliny, która swym pięknym głosem zaśpiewała kilka piosenek.

Poniżej prezentuję dwa utwory z programu wielkanocnego.

Wielkanoc

Wielkanoc, Wielkanoc!
Wielka radość w sercu,
Gdy chodzisz po świecie
Kwitnącym kobiercu.

Na stole pisanki
Tęczę malowane
Wśród zieleni trawy
Cukrowy baranek.
Bazie w wazoniku,
Ciasta i wędliny.
Wielkanoc, Wielkanoc
I wielkie spotkanie rodziny
Alleluja

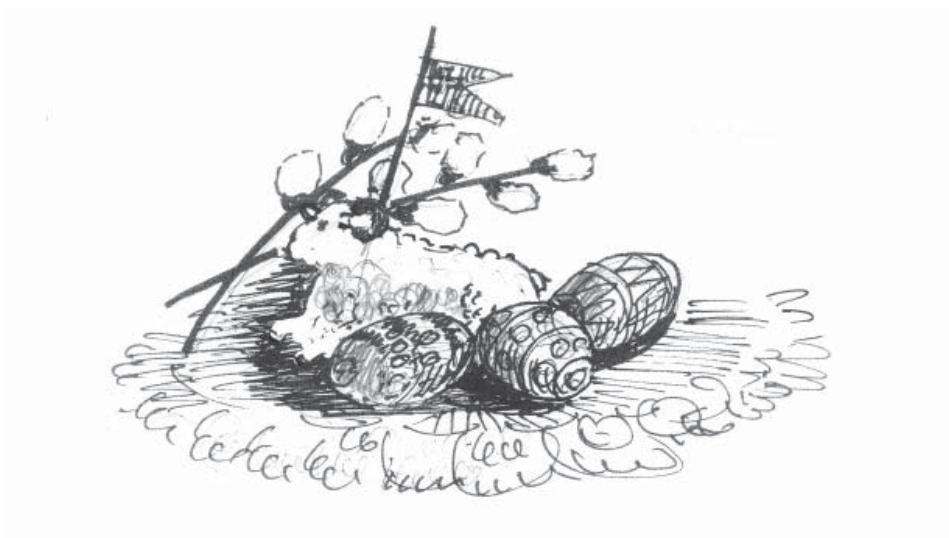
Hej mazurek wielkanocny
Ma przeróżne zwrotki,
Lecz sens zawsze ich jednaki
Słodki, słodki, słodki.
Z marcepanu, czekolady
Masy, lub szarlotki.
Jest mazurek tak prawdziwy
Słodki, słodki, słodki!
Alleluja

Oto są baranki młode

Oto są baranki młode
Oto ci, co zawołali alleluja!
Dopiero przyszli do zdrojów,
Światłością się napełnili,
Alleluja, alleluja!

Chwała ojcu i synowi,
Który z martwych żywy wstaje
I Świętemu też Duchowi
Niech na wieki nie ustaje

Pragnę parę słów napisać o tej utalentowanej rodzinie – Pani Elżbieta jest absolwentką liceum im. Tomasza Zana. Mimo że już dawno nie mieszka w naszym mieście, ona, a z nią najbliższa rodzina, mają sentyment do Pruszkowa. Zawsze, jeśli ją o to poprosimy, występuje w naszej szkole. Często przyjeżdża z nią jej mąż. Ich występy są zawsze świetnie przygotowane, świadczą o ich wielkim zaangażowaniu i „poważnym” traktowaniu widza. Na scenie wprowadzają miły, rodzinny nastrój – nawet ci, którzy słyszą ich po raz pierwszy, czują do nich sympatię. Więcej o ich działalności artystycznej napiszę w kolejnym numerze „Przełądu”.



POŻEGNANIA

Majka Barrat

JAK TRUDNO...

Jeszcze poduszka pachnie Twoim ciałem,
w szafie ubrania Twoje nie ruszone
i obraz wisi w pokoju, jak chciałeś,
gazety na biurku Twą ręką rzucone.

Jeszcze Twój zapach błądzi po szufladach
pełnych notatek związanych z Twą pracą,
których już nigdy nie będziesz układał,
które bez Ciebie teraz nic nie znaczą.

Jeszcze czasami w zadumy godzinie
słyszę głos znajomy, jakby z oddalenia,
a potem, za chwilę, kiedy złuda minie
myśl przychodzi jasna: przecież Ciebie nie ma.

Jak trudno zapomnieć, kiedy wiosen tyle
przeżyliśmy razem na dobre i złe,
wymazać z pamięci te ulotne chwile,
które los darował Tobie i mnie

Jak trudno układać swe życie od nowa
teraz, kiedy coraz bielsza skroń,
powtórzyć dawno powiedziane słowa
i znaleźć prawdziwie przyjacielską dłoń.

prof. Jacek Przygodzki
mgr Tomasz Boczyński

Stanisław Jerzy Boczyński
(17 IV 1940 – 11 IV 2011)

LEKARZ



Stanisław Boczyński urodził się w Pruszkowie. Jego matką była Władysława (1916–1994) z domu Szyłkiewiczówna, był więc spokrewniony ze znaną w Pruszkowie rodziną Szyłkiewiczów oraz z żoną ppłk. Edmunda Krzywda-Rzewuskiego. Jego ojciec, Stanisław Bolesław (1910–1964), absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, był oficerem Armii Krajowej, wchodził w skład sztabu Rejonu VI Obwodu „Obroża” AK dowodzonego przez E. Krzywda-Rzewuskiego. Aresztowany po wejściu Armii Czerwonej w kwietniu 1945 r. razem z ppłk. Rzewuskim. Po wyjściu z więzienia był prześladowany przez Urząd Bezpieczeństwa aż do swej przedwczesnej śmierci.

Dzieciństwo Stanisława Jerzego Boczyńskiego za sprawą zaborców nie było więc spokojne i pogodne – mimo że miał kochających rodziców i młodszego brata Tomasza (ur. w 1945 r.)

Naukę rozpoczął w roku 1946 w Szkole Podstawowej nr 1 i kontynuował w Liceum Ogólnokształcącym im. Tomasza Zana,

gdzie uzyskał świadectwo dojrzałości w roku 1957. W tym samym roku rozpoczął studia w Akademii Medycznej w Warszawie. Po ich ukończeniu w roku 1964 podjął pracę jako asystent w Oddziale Chirurgicznym Szpitala Miejskiego w Pruszkowie. W roku 1969 uzyskał I stopień specjalizacji w zakresie chirurgii ogólnej. Jego żona, Bożena z domu Bursa (1939–2007), z wykształcenia farmaceuta, pracowała w aptekach pruszkowskich. Mieli dwie córki, Dorotę (ur. w 1962 roku w Pruszkowie, obecnie mieszkającą w Londynie wraz założoną tam rodziną) oraz Annę (ur. w 1970 roku pruszkowiankę, do dzisiaj mieszkającą w naszym mieście).

W roku 1972 Stanisław wyjechał na kontrakt zawodowy do Libii, gdzie pracował jako ordynator Oddziału Chirurgicznego General Hospital w Yefren do roku 1975. Po powrocie do Polski objął stanowisko zastępcy ordynatora Oddziału Chirurgicznego Szpitala Miejskiego w Pruszkowie. W roku 1975 uzyskał II stopień specjalizacji w zakresie chirurgii. W latach 1977–1978 pracował jako chirurg zakładowy w Zakładach Mechanicznych URSUS w Warszawie, po czym nastąpił jego najdłuższy pobyt zagraniczny związany z pracą zawodową. W latach 1978–1986 był ordynatorem:

- a) Oddziału Chirurgicznego General Hospital w Von (Nigeria),
- b) Oddziału Chirurgicznego Dengos Hospital w Joss (Nigeria).

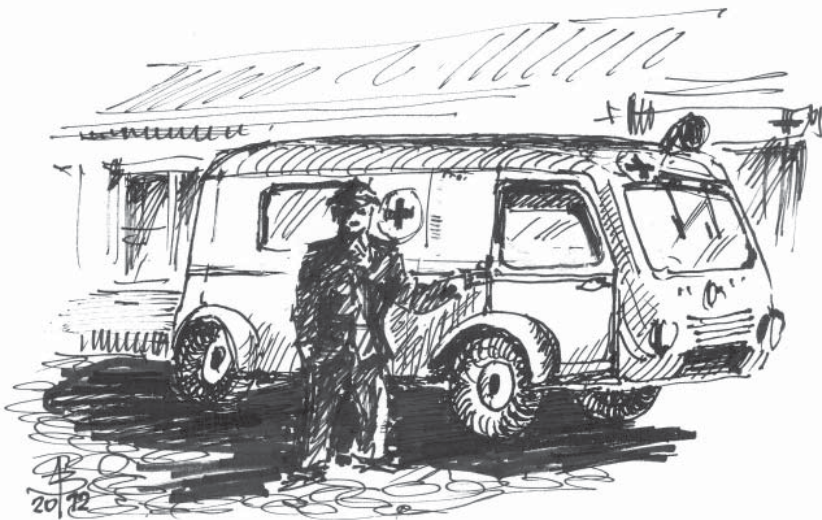
Po powrocie wznowił pracę w Pruszkowie jako kierownik bloku operacyjnego Szpitala Miejskiego, ale po trzech latach znów wyjechał za granicę i pracował jako lekarz budowy Elektrowni „Gagarin” w Gionges (Węgry) w latach 1989–1990. Wrócił jak zawsze do Pruszkowa, gdzie w latach 1990–1992 był zastępcą dyrektora ds. lecznictwa „ZOZ” Pruszków.

Jego wieloletnia praca w ZOZ Pruszków została przerwana z powodu rocznego wyjazdu do Iranu, gdzie był lekarzem budowy Elektrowni AHWAST w latach 1992–1993. Po powrocie objął swoje poprzednie stanowisko – wkrótce awansował – w roku 1995 został dyrektorem ZOZ Pruszków. Po czterech latach odszedł na

wcześniejszą emeryturę, ale od roku 2000 pracował aż do śmierci w Pogotowiu Ratunkowym w Pruszkowie. Został pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Stare Powązki (kwatery N, rząd 5) w Warszawie.

Mimo kilku wyjazdów zagranicznych większość swego życia zawodowego spędził w Pruszkowie. Tu było jego miejsce na ziemi, tu wracał z każdego wyjazdu, tu zyskał uznanie środowiska.

W uznaniu osiągnięć zawodowych został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, za działalność w Pruszkowie otrzymał medal „Za zasługi dla miasta”.



Jerzy Kaliński – lekarz, poeta



Pierwszego grudnia 2011 roku pożegnaliśmy wspaniałego lekarza, oddanego chorym, dobrego człowieka, przyjaciela, wrażliwego poetę. Urodził się w Pruszkowie 10 kwietnia 1933 roku, wychowanek liceum im. Tomasza Zana. W czasie wojny był członkiem Zawiszy – najmłodszej formacji Szarych Szeregów. Nie było dla nas tajemnicą, że chciał być aktorem – nie udało się – Ukończył Akademię Medyczną w Warszawie, jednak zawsze był wierny teatrowi i sztuce – organizował artystyczne spotkania, pisał wiersze. Został członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Swoje wiersze drukował w prasie lokalnej, a także w wydawnictwach ogólnopolskich między innymi w almanachu poezji religijnej, w almanachu Unii Polskich Pisarzy. Prawie całe życie pracował w Wojewódzkim Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Tworzech. Był konsultantem chorób wewnętrznych. Niedawno przeszedł na emeryturę; „wolnością” nie cieszył się długo – zachorował – zmarł 26 listopada ubiegłego roku.

Oddaję głos pacjentom doktora:

Zdzisław Majewski

W dniu 26 listopada 2011 roku zmarł dr Jerzy Kaliński. Zналиśmy go od lat siedemdziesiątych, moja żona miała przyjemność spotkać go już w latach sześćdziesiątych – był wówczas lekarzem rejonowym w Przychodni Zdrowia przy ulicy Drzymały 19. Była nim zauroczona, był bowiem nie tylko przystojnym mężczyzną, ale i doskonałym lekarzem, z którym można było rozmawiać na każdy temat. Przez parę lat mieszkaliśmy w stolicy – dopiero po powrocie spotkaliśmy się z doktorem. Mieszkała z nami Teściowa,

która bardzo chorowała – udaliśmy się do Spółdzielni Lekarskiej, w której przyjmował dr Kaliński.

Doktor był człowiekiem skromnym i bardzo życzliwym. Nie „faszerował” Teściowej pigułkami – rozmowa z nim była bezbolesną terapią... jak nikt, potrafił wczuć się w stan pacjenta – rozmowa i poczucie humoru zastępowały leki.

Osobiście zetknąłem się z doktorem Jerzym Kalińskim w okresie „festiwalu SOLIDARNOŚCI” w naszym kraju. Po prostu nie wytrzymałem nerwowo i zacząłem mieć kłopoty ze sobą, a były to zawroty głowy i lęk przed światem. Po wizytach u różnych lekarzy zwróciłem się o pomoc do dra Kalińskiego. Rozmawiając ze mną starał się zrozumieć, co było przyczyną mego, tak złego samopoczucia.

Często spotykaliśmy go na spotkaniach w Pruszkowskim Towarzystwie Kulturalno – Naukowym – był czynnym uczestnikiem tych spotkań. Jeszcze w maju 2011 roku wygłosił wykład o śmierci Chrystusa na krzyżu jako efekcie niedotlenienia mięśnia sercowego. Poprowadził ten wykład tak, że niektórym słuchaczom ciarki przechodziły po plecach.

Napisał wiele wierszy – są to wiersze patriotyczne, religijne, erotyki. Jest autorem książki „Gasnąca pamięć”, w której pragnął oddać hołd swoim koleżankom i kolegom z Szarych Szeregów.

Niestety, „ze śmiercią nie można się umówić”, jak mawiał śp. ksiądz Roman Indrzejczyk... Żegnaliśmy dra Jerzego Kalińskiego 1 grudnia mszą świętą żałobną w kaplicy Przemienienia Pańskiego w Tworkach. Sprawował ją ksiądz kapelan Jan Frej. Swą homilię zakończył pięknymi słowami „odszedł do Pana umocniony w wierze”.

Po pożegnalnych mowach odprowadziliśmy ciało zmarłego na cmentarz pruszkowski, gdzie złożono je do grobu rodzinnego.

Ci, którzy Go znali, zachowają Go na zawsze w swojej pamięci – nie dadzą o Nim zapomnieć jego wiersze i uczynki.

Odszedłeś Zebku... Zostałeś w naszej pamięci!



18 stycznia 2012 roku odszedł od nas **Euzebiusz Kielkiewicz**, absolwent Liceum im. Tomasza Zana, prezydent Pruszkowa w latach osiemdziesiątych minionego stulecia.

Pamiętam Zebka z czasów szkolnych – zdawaliśmy maturę w tym samym, 1953 roku. On był w klasie „francuskiej”, ja w „łacińskiej”. Wysocki, przystojny, uśmiechnięty i życzliwy, był duszą towarzystwa. Stanowił obiekt westchnień wielu koleżanek, ale wybrał tę jedyną z mojej klasy, Krysię Płodzikówną. Stworzyli dobraną parę małżeńską, dochowali się syna Pawła, dwóch wnuczek.

Upływ czasu, wydarzenia dorosłego życia, zacierają szczegóły i wielu sytuacji ze szkolnych czasów nie pamiętam. Wiem, że Zebek brał czynny udział w życiu szkoły, uczestniczył w zawodach sportowych Liceum Zana, występował w przedstawieniach szkolnych.

Ukończył Politechnikę Warszawską, wiele lat pracował w Instytucie Organizacji Przemysłu Maszynowego „Orgmasz” w Warszawie jako główny specjalista, wykładał w Ośrodkach Doskonalenia Kadr Kierowniczych w Polsce, a także dzielił się swoją wiedzą i doświadczeniami w Czechosłowacji, Rumunii, Bułgarii, na Węgrzech. Wydał szereg publikacji z dziedziny nauk technicznych.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych minionego wieku wyjechał do Zairu (obecnie Republiki Demokratycznej Konga),

gdzie przez dziesięć lat wykładał na Uniwersytecie Narodowym w Kinshasie.

W latach dziewięćdziesiątych wrócił do Polski, zaangażował się w pracę społeczną na rzecz rodzinnego Pruszkowa. Jako radny był przewodniczącym Rady Miejskiej, później został wybrany na urząd prezydenta miasta, który sprawował do końca 1998 roku, po czym nadal piastował mandat radnego. Swoją społecznikowską pasją „zaraził” też żonę, Krystynę, która także była radną naszego Grodu.

Euzebiusz jako prezydent wiele dobrego zrobił dla miasta, dla pruszkowiaków. Życzliwy dla ludzi, chętnie pomagał potrzebującym. Zdarzało się, że swoje pieniężne nagrody przekazywał niżej uposażonym pracownikom Urzędu Miasta.

Za Jego prezydentury, w miejsce straszącego przy wjeździe do Pruszkowa wraku zaplanowanego przed laty i nigdy nie skończonego krytego lodowiska, powstała nowoczesna Hala Sportowa „Znicz”, wyposażona w infrastrukturę umożliwiającą organizację zawodów sportowych w różnych dyscyplinach na skalę międzynarodową. „Znicz” był uważany w tamtych czasach za największy kryty obiekt sportowy zachodniej części regionu.

Wiele czasu i osobistego zaangażowania ze strony prezydenta wymagała też budowa i otwarcie Ośrodka Zdrowia przy ul. Helenowskiej w Pruszkowie i w jego sąsiedztwie Urzędu Poczty Polskiej. Oba te obiekty w dużym stopniu ułatwiły życie mieszkańcom wielotysięcznego Osiedla Staszica.

Prezydent Euzebiusz Kiełkiewicz zainicjował w Pruszkowie Towarzystwo Budownictwa Społecznego, które przez remont starych, a także budowanie nowych domów zwiększa możliwość korzystania z mieszkań komunalnych gorzej uposażonym pruszkowiakom. Towarzystwo to działa do dnia dzisiejszego.

Na jedną kadencję włodarza miasta to niemało, dostrzegamy to my, absolwenci Zana i choć już nie ma Zebka wśród nas, to będzie długo żył w naszej pamięci jako człowiek nieprzeciętny, wartościowy. Trudno nam pogodzić się z Jego odejściem, bo ludzi uczciwych i dobrych nie spotyka się często, tym większa szkoda i żal.

Doktor Sabina Czyżewska – naukowiec, społecznik

Z Sabinką poznałyśmy się w czasie wojny. Nie pamiętam okoliczności – może poznałyśmy się przez naszych braci Ludwika i Zbyszka – obaj byli Zaniakami.

Sabinka urodziła się w Siedlcach. Przed wojną rodzina państwa Czyżewskich przeprowadziła się do Pruszkowa, ponieważ ojciec Sabinki, pracownik PKP, został służbowo przeniesiony. Zamieszkali przy ulicy Sobieskiego.

W czasie okupacji uczęszczałyśmy do Gimnazjum Spółdzielczego w Warszawie; nauka w nim była legalna. Przed wybuchem Powstania Warszawskiego otrzymaliśmy małą maturę.

Po opuszczeniu Warszawy i okolic przez Niemców w styczniu 1945 roku grono nauczycielskie Gimnazjum i Liceum im. Tomasa Zana podjęło inicjatywę legalnego nauczania. O naborze młodzieży do szkoły dowiedziałam się od księdza Skrzecza, prefekta szkoły od czasów przedwojennych.

Obie z Sabinką postanowiłyśmy uzupełnić braki w edukacji, szczególnie z języka polskiego i historii i przystąpić do egzaminu. Dzięki temu, że grono pedagogiczne było dla zdających bardzo tolerancyjne zostałyśmy przyjęte do pierwszej klasy liceum. Nauka w szkole zaczęła się 1 marca 1945 – w maju 1946 otrzymaliśmy świadectwo dojrzałości. Miałyśmy otwartą drogę do dalszej nauki. Obie zostałyśmy studentkami Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – interesował nas kierunek przyrodniczy studiów – stąd wybór tej uczelni.

W roku 1951 otrzymałyśmy dyplom ukończenia studiów; ja wyszłam za mąż i podjęłam obowiązujący staż pracy w Wydawnictwach Technicznych, a Sabinka poza pracą zawodową podjęła studia doktoranckie. W roku 1966 uzyskała tytuł doktora nauk rolniczych w zakresie fitopatologii tj. nauki o chorobach roślin. Tej gałęzi nauki poświęciła się całkowicie. Pracowała w rolniczych placówkach naukowych; między innymi w Regułach i Skierniewicach w Instytucie Nasiennictwa Warzywnego.

W swojej pracy naukowej zajmowała się grzybami chorobotwórczymi przenoszonymi przez nasiona roślin przemysłowych i warzywnych; ich patogenicznością oraz zwalczaniem powodowanych przez nie chorób, zdrowotnością i jakością materiału siewnego oraz odpornością badanych odmian roślin jak też opracowywaniem optymalnych metod diagnostycznych.

Z zakresu fitopatologii i mikrobiologii opublikowała ponad pięćdziesiąt prac naukowych, wiele prac popularnonaukowych i podręczników. Była współautorem Encyklopedii Ochrony Roślin. W latach 70-tych odbyła szereg staży zagranicznych, między innymi w NRD, Holandii, Rumunii, na Węgrzech. Brała czynny udział w krajowych i zagranicznych kongresach. Była społecznikiem – jako członek Polskiego Towarzystwa Botanicznego, Fitopatologicznego, Ligi Ochrony Przyrody uczestniczyła w pracach różnych komisji naukowych – za swą pracę otrzymała liczne odznaczenia państwowe i resortowe.

Sabinka miała bardzo liczne grono znajomych i przyjaciół, zawsze chętna do współpracy przy organizacji spotkań koleżeńskich na uczelni.

Mimo licznych zajęć miała czas na uczęszczanie na koncerty i do teatru. W tych miejscach odpoczywała i nabierała sił do dalszej pracy.

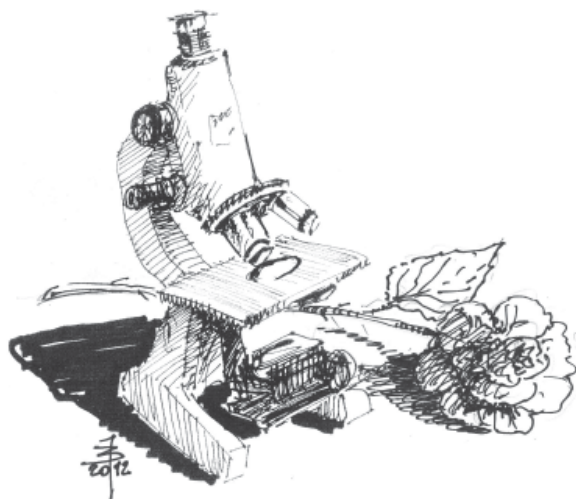
Miejscem, w którym odpoczywała był dom brata – z jego dziećmi była bardzo zżyta. Rozwijiała w nich zainteresowania przyrodnicze poprzez odpowiednie książki, wycieczki i uczestnictwo w wystawach.

Była ulubioną ciocią Sabinką moich córek – starsza była jej córką chrzestną. Od zawsze była traktowana jak najbliższy członek naszej rodziny.

Pomimo że szybko straciła najbliższą rodzinę, nie była samotna. Jej charakter i stosunek do innych sprawił, że zawsze miała wokół siebie życzliwych ludzi.

Od wielu lat była członkiem Pruszkowskiego Towarzystwa Kulturalno-Naukowego; między innymi była w Komisji Rewizyjnej naszego Towarzystwa.

Zmarła 20 lutego 2012 roku. Jest pochowana w grobie rodzinnym w Marysinie Wawerskim.



Zbliża się kolejna, 68 rocznica Powstania Warszawskiego. Przypomnijmy sobie, jak w tych dniach pisali poeci.

Krzysztof Kamil Baczyński

Modlitwa do Bogarodzicy

Któraś wiodła jak bór pomruków
ducha ziemi tej skutego w zbroi szereg
prowadź nocne drogi jego wnuków,
byśmy milcząc umieli umierać.

Któraś była muzyki deszczem,
a przejrzysta, jak świt i płomień,
daj nam usta jak obłoki niebieskie,
które czyste – pod toczącym się gromem

Która ziemi się uczyłaś przy Bogu,
w której ziemia, jak niebo się stała,
daj nam z ognia Twego pas i ostrogi,
ale włóż je na człowiecze ciała.

Któraś serce jak morze rozdarła,
w synu ziemi i synu nieba,
o, naucz matki naszej,
jak cierpieć trzeba.

Która jesteś, jak nad czarnym lasem
blask – pogody słonecznej kościół,
nagnij pochmurną broń naszą,
gdy zaczniemy walczyć miłością.

Kamil Krzysztof Baczyński

* * *

Których nam nikt nie wynagrodzi
i których nic nam nie zastąpi,
lata wy straszne, lata wąskie
jak dłonie śmierci w dniu narodzin.

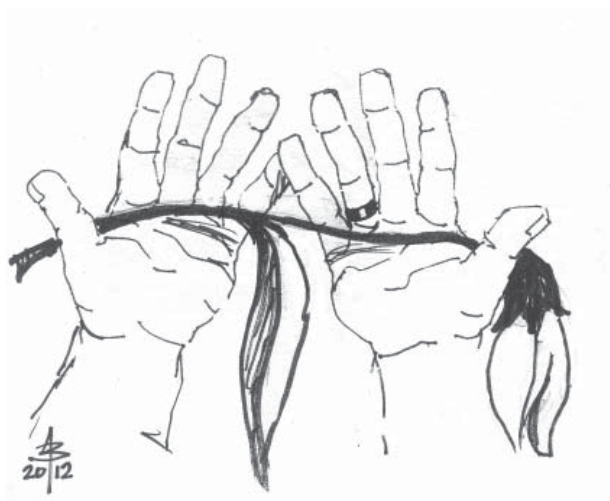
Powiedziałyście więcej nawet
niż rudych burz ogromne wstęgi,
jak ludzkie ręce złych demonów
siejące w gruzach gorzką sławę.

Wzięłyście nam, co najpiękniejsze
i zostawiły to, co z gromu
aby tym dziksze i smutniejsze
serca – jak krzyż na pustym domu.

Lata, o moje straszne lata,
nauczyłyście wy nas wierzyć
i to był kostur nam na drogę,
i z nim się resztę burz przemierzy,

Których nam nikt nie wynagrodzi
i których nic nam nie zastąpi,
lata – ojczyzno złej młodości
trudnej starości dniu narodzin.

Bogu podamy w końcu dłonie
spalone skrzydłem antychrysta
i on zrozumie, że ta młodość
w tej grozie jedna była czysta.



Palec na cynglu

Palec na cynglu lub granat w garści,
Butelka z naftą w ściśniętej dłoni,
Spojrzeniem w noc. Papieros zgasić,
Natarcie trwa. PASTa się broni.

Jeszcze dwie serie i filipinka.
Czy damy radę ? Przecież musimy,
Serce Warszawy bije w jej synach,
„Polacy, płąćcie dług!” Zapłacimy.

Byleby jeszcze parę naganów...
I mrok, i noc, I bruk – to nasi,
W Gestapo, Wehrmacht i SS-manów!
Palec na cynglu lub granat w garści.



Piosenka

Zasmuciła się piosenka,
pośród zgliszczy i ruin płynie,
Na ulicy granat pęka,
pada chłopak przy dziewczynie.

Ale słowa gonią dalej
o dziewczynie i piosence,
by znów dom się zwałił
i ktoś znowu zginął w męce.

Leć melodio, leć najkrwawsza
ulicami mej stolicy
Będziesz z nami już na zawsze
nad Powstaniem dymem wisieć.

Za dziewczynę ukochaną,
za piosenkę tę jedyną,
nie strach przeciw czołgom stanąć,
nie tak trudno młodo ginąć.

Śmierć łączniczki

Hej, łączniczko Halino,
Nasza dzielna dziewczyno;
Trzeba biec na Krakowskie z rozkazem,
Rzekła tylko „morowo”
I już była gotowa
Powróciła i tym jeszcze razem.

Hej, łączniczko Halino,
Znów iść musisz – bo zginą,
Masz naboje, to dla nich ratunek,
Rzekła „rozkaz, już lecę”
I na wątle swe plecy
Zarzuciła bezcenny ładunek.

Płyną długie godziny
I łączniczki Haliny
Ciągłe nie ma... Bo kiedy wracała,
Nagle wzniosła ramiona
I spojrzała zdumiona
I tak dziwnie się jakoś zachwiała,
Gdy już nieśli ją potem
Rozsypały się złotem
Jasných loków jedwabne pierścienie,
A spod powiek, gdy drgnęły,
Dwie łzy tylko spłynęły,
Hej łączniczko!?! Odparło milczenie...



Pożegnaliśmy w ubiegłym roku lekarza, poetę, naszego serdecznego przyjaciela. Wiele razy drukowaliśmy jego wiersze, ale teraz kilka z nich chcemy przypomnieć.

Jerzy Kaliński

Moja modlitwa

Moja modlitwa
odmienna
skra śmiechu
 ciepłego
Moja modlitwa
to miłosierdzie
dotyk kojący
 i lęk i trwoga
Moja modlitwa
to pomoc cierpiącym
 i łaska Boga
Moja modlitwa
w trudzie dnia każdego
ufne zawierzenie
bezsłowne
westchnienie
w cieniu
 Ducha Świętego



Przepraszam, Panie

Za moje ziemskie przewinienia
za moje ludzkie grzeszne pragnienia
przepraszam Panie –
Za wszystko czego nie potrafiłem
Za to, że czasem miernotą byłem
żałuję Panie –
Za to, że modlić się nie umiałem
Często o Tobie zapominałem
płaczem się dławie –
Za drogę życia, którą wybrałem
Godziny szczęścia jakich doznałem
pieśnią Cię sławie –
Za wszystkie smutki i za radości
Za najcenniejszy dar Twojej Miłości
łza świeci słona –
Po dniach mozolnie przepracowanych
Boże mój, Panie Ojcie kochany
weź mnie w ramiona –

Płomień

Na pożegnanie hma Aleksandra Kamińskiego

Bucha płomień ogniska ponad chaty,
melodią rozbrzmiewa las
pieśń harcerska płynie jak przed laty –
wspomnień nadszedł czas.

Szare szeregi, harcerskie szeregi,
co z ognisk iskier moc czerpały
od szczytów Karpat po morza brzegi
dla ciebie Ojczyzno i dla twej chwały!

Wirujący iskier taniec
z dymem unosi się w górę
jak kamienie rzucone na szaniec
stawali do walki murem.

Odchodzili na wieczną wartę
pozbawieni młodzieńczych radości,
by zapisać historii kartę
bronili zdeptanej wolności.

Polana gasną, żar umiera
my zastygamy w bezruchu
w sercach bolesna pustka teraz
boś zgaśł – jak ogień – Nasz Druhu.

Myśli o Tobie

gdy nas rozdziela różne światy
i będę w przestworzach
zostawię Ci
wspomnień najpiękniejsze kwiaty
tańczące fale i szum morza

zostawię ci dotyk mych dłoni
mgłą tęsknoty
będę głaskał Twe ręce
cichym westchnieniem dasz mi znać
że czujesz przy sobie moje serce

w tęczy odnajdziesz moje oczy
pieszczotę w promieniach słońca
i cień mój będzie towarzyszył
ci krok za krokiem nocą i w dzień
do końca

nie roń łez – dobrze mnie znasz
że tam w przestrzeni za górami
znajdę obłok gdzie słońce nie śpi
morze szumi
i znów obdarzę Cię karesami

FUNDACJA POMOCY
SŁUŻBIE ZDROWIA
Organizacja użytku publicznego



Nasze konto

Bank Polski 27 1020 1055 0000 9702 0015 2785

Fundacja Pomocy Służbie Zdrowia działa w Pruszkowie od 1996 roku. Założycielem jej i przewodniczącym Rady Fundacji jest dr nauk med. Zbigniew Kosmański.

Wszyscy członkowie Fundacji pracują społecznie. Celem Fundacji jest :

- poprawa wyposażenia placówek medycznych
- promocja zdrowia

Od chwili powstania Fundacji przekazaliśmy placówkom służby zdrowia w naszym mieście niżej wymienioną aparaturę

1. mammograf wraz z automatyczną wywoływarką do zdjęć rtg.
2. kolonoskop – aparat do badania jelita grubego
3. dwa aparaty do terapii pulsacyjnej
4. nowoczesny aparat EKG i zestaw do badań wysiłkowych
5. dwa aparaty KGT (kardiotokografy) używane do kontroli pracy serca płodu.

Fundacja nasza nie prowadzi żadnej działalności gospodarczej, ale dzięki podatnikom, którzy zdecydują się przekazać 1% podatku na rzecz Fundacji, będziemy mogli kontynuować naszą charytatywną działalność.